

W NUMERZE: Biblioteczne medytacje • Odległość od pocztówek • Mała moralistka • O Meksyku, dyplomacji itp. • Rozmowy o projekcie Kodeksu Karnego (3) • Chłopcy z ganqu • W Bieszczadach (1) • W kręgu czytelniczych zainteresowań • Z lekkiej muzy pani Sztuka • I in.

# KAMENA

LUBLIN

30.IV.1963

Nr 8 (270)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

## DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

### Święto rozsądku

WALDEMAR BABINICZ

Aleksander Głuchowski  
i Maja Głuchowska  
Franciszka



### ZYGMUNT MIKULSKI W jednym marszu

Grają na wietrze zielone nuty,  
przybrywa drzewom wiosennych liści.  
Dzień na ulicę wyszedł i w dniu tym  
czerwień z zielenią wygrywa wyścig.

Na całym świecie i w każdym kraju  
pieśń mówi słowa i tony nowe.  
Błyskają słońcem, światło rozdadają  
trąby strażackie, trąby pocztowe.

To ci, co trwają w powszednim  
trudzie,  
co czas epoki noszą nad chmurą  
trzymając sztandar powszedni  
ludzie  
obu Ameryk, obu Europ.

Zeby nie brakło kwiatów i okien,  
zeby kłosa skrzył się jak promień  
złoty  
płyną nad głową pieśni wysokie  
flagą czerwoną, skrzydłem ochoty.

A wiatr z podwórka, dworców  
i parków  
instruje w biegu marszowy szereg.  
Idą do faktu, znaczą czas szparko  
wskazówki socjalistycznej ery.

I wiosna, która wyszła na placyk  
w odbiciu okna poprawia lok.

Pierwszy dzień maja — braterstwo  
pracy,  
pierwszy dzień maja — zwycięski  
krok.

## CZWARTA MŁODOŚĆ ŚWIDNIKA

JERZY DOSTATNI

**T**UŻ po 1 Maja rozpoczynają się Dni Oświaty, Książki i Prasy. W umysłach wielu ludzi obie uroczystości kojarzą się tak nieodłącznie, iż tu i ówdzie ukształtował się pogląd, że to właśnie klasa robotnicza wprowadziła w naszym kraju nową, piękną tradycję majową.

Bardzo słuszny pogląd.

I

W latach międzywojennych wiele deklamowano o kagańcu oświaty, zbieżano rokrocznie składki na Macierz Szkolną, a zbiórki uliczne przynosiły tak kolosalne rezultaty, iż uzyskane tak karoty sumy wystarczały na budowę jednej siedmioklasowej szkoły podstawowej.

Zasugerowana propagandą opinia publiczna skłonna była przypuszczać iż był to istotnie sukces niemający.

W ciągu dwudziestu lat w czterech reprezentatywnych powiatach naszych czterech województw, do których do-ciera „Kamena”, wybudowano trzy-nasze szkół podstawowych i cztery szkoły średnie. W ciągu ostatnich pięciu lat w tych samych powiatach wybudowano 111 szkół podstawowych, jednaście techników, pięć szkół zasadniczych z pełnym zaple-czem i osiem kompletnie wyposażo-nych internatów.

Przypuszczalnie liczba ta w innych powiatach jest jeszcze większa. A przecież dane te nie obejmują szkół i kursów przyzakładowych, szkół dla dorosłych, kursów zawodowych dla rolników (tak rozsądnie przeprowadzo-nych np. w ostatnim roku w woje-wództwie kieleckim), kursów zdrowia, uniwersytetów powszechnych, ludo-wych, robotniczych itp.

(Dokończenie na str. 2)

**P**IERWSZA młodość gubi się w przeszłości, której nikt jeszcze nie zbadał. Nie każda przecież wioszczyzna dorobiła się własnej m-nografii, zwłaszcza, gdy jej codzienny, niewesoły żywot rozplywał się w cie-niu miasta, goszczącego królów i ksią-żąt, wojewodów i gubernatorów, poe-tów i architektów. Lublin dorobił się w herbie kozła, Świdnik do dzisiaj nie ma swego herbu. Lublin widnieje w każdej encyklopedii, Świdnikowi do-piero w „Małej Encyklopedii Pow-szechnej” poświęcono zaledwie 2 wiersze.

Równo przed ćwierć wiekiem zano-siło się na to iż mała wioska podlu-belska zrobi dużą karierę. Opraco-wany wtedy plan tzw. Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP) wyzna-czał Świdnikowi obok Stalowej Woli niepoślednią rolę: tu miała powstać fabryka przemysłu wojennego. Zaczę-to nawet budować dwie hale, ale wy-buch wojny uprzędził drugą młodość krytej strzechami wioski, która przy-cupnęła po północnej stronie szosy na Zamość. Wkrótce zaś na cały świat zasłynęła inna wioska, właściwie już przedmieście Lublina, leżąca po po-ludniowej stronie owej szosy — Maj-danek...

Ale do trzech razy sztuka. Gdzieś przed 15 laty zapadła decyzja, aby właśnie tu, w sercu rolniczego dotych-czas województwa, zbudować Wy-twórnię Sprzętu Komunikacyjnego. Obok kilku innych fabryk ona wła-snie miała decydować o przyszłości

tego województwa, nadać mu socja-listyczny awans należny części kra-ju nazywanej kiedyś Polską B. Pewnego dnia rozklekotanym do ostat-nich granic samochodem przyjechało tu dwóch inżynierów. Obaj zalamali ręce. Pomiędzy tymi chałupami wiat-rem podszytymi, pomiędzy sosnami skąpo rosnącymi na nieurodzajnej zie-mi, ma powstać wielka fabryka? Nikt im nie gwarantował ani ludzi, ani maszyn. Starszy inż. Stefan Zwarycz, którego jowialność i energia stały się później legendą w lubelskim środo-wisku budowlanym, dziś już nie żyje. Sterany wieloletnią walką z cegłą, be-tonem i żelazem, inżynier miał swe-go czasu podejrzanie wilgotne oczy, gdy patrzył na pierwsze pracujące w Świdniku obrabiarki. Drugi z tych in-żynierów, Marian Kwiecień, jest dzi-siaj dyrektorem największego przed-siębiorstwa budowlanego w woje-wództwie. I chociaż dołożył wiele tru-du w budowę niemal wszystkich naj-większych fabryk Lubelszczyzny — to przecież ten pierwszy wielki życiowy egzamin stał się najbliższy jego sercu i pamięci.

Burliwie zaczęła się trzecia mło-dzież Świdnika. Fabrykę budowało lu-belskie przedsiębiorstwo, a powstają-ce tuż obok osiedle mieszkaniowe — przedsiębiorstwa sponowane aż z Poznania i Gdańska. Ludzie też byli najdzielniejsi: starzy, wysoko kwalifi-kowani majstrowie, trochę przedwo-jennych inżynierów, kilkunastu powo-jennych techników — i tysiące ludzi,

których przygnała tu chęć zarobku. Dość szybko dokonał się podział na „swojaków”, tych z województwa lu-belskiego, i „obcych”, przywiezionych z innych województw. Pierwszych za-trudniało przedsiębiorstwo lubelskie, stawiając dla nich murowane hotele robotnicze tuż na skraju fabrycznego placu budowy. „Obcy” budowali mie-szkania dla przyszłej załogi i mieli własne drewniane baraki w rejonie tzw. Franciszkowa.

Najpierw poszło o honor: kto waż-niejszy, kto buduje rzecz ważniejszą. Potem zaczęły się mnożyć zatargi: o lepsze zaopatrzenie w chleb, o pry-mat na polu wyczynów alkoholo-wych, o dziewczynę. Niebezpiecznie było pokazywać się wieczorami na ciem-nych koleinach znaczących dopiero trasy przyszłych ulic. Miejscowy po-sterunek MO musiał być niemal co noc wzmacniany posiłkami z Lublina. Meksyk — mówiono o Świdniku, za-równo o tej części, gdzie powstawała fabryka, jak i o tej, gdzie wyrastały duże, czerwone, dość ponure, jeżeli chodzi o architekturę, bloki mieszkal-ne. Był czas, że mieszkańcy Lublina przyjeżdżali kupować tu bez przydzia-łów kupony materiałów, rowery czy aluminiowe garnki, a miejscowe bry-gady wstrzymywały się od pracy, bo z lubelskich piekarń nie przywieziono na czas chleba, bo w letnie upały bra-

(Dokończenie na str. 6)



# ŚWIĘTO ROZSĄDKU

(Dokończenie ze str. 1)

Słusznie więc kojarzy przeciętny obywatel Święto Pracy z sukcesami klasy robotniczej na polu oświaty i kultury, słusznie uważa klasę robotniczą za inicjatorkę i konsekwentnego realizatora jednego z najważniejszych postulatów świata pracy: oświaty dla ludu, dla mas pracujących.

W wydanych przez PAN „Studiach nad rozwojem klasy robotniczej” (praca zbiorowa pod redakcją prof. Szepeńskiego, 1962) czytamy, iż w Fabryce Samochodów Osobowych w roku 1958 pracowało:

robotników niewykwalifikowanych	— 23,5%
robotników średnio wykwalifikowanych	— 34,8%
robotników wysoko wykwalifikowanych	— 41,7%

Mężczyźni-robotnicy w większości należą do wysoko- i średnio wykwalifikowanych i stanowią aż 76,5% ogółu pracujących.

Powtarzamy: dane te pochodzą z r. 1958 i uległy zmianie in plus w ciągu lat ostatnich. W naszych obiektach w warunkach są to liczby imponujące i biją na głowę osiągnięcia w krajach nawet wysoko uprzemysłowionych, cieszących się znacznymi osiągnięciami na polu oświaty (USA, NRF, kraje skandynawskie).

W latach czterech miastach wojewódzkich przy technikach mechanicznych dla młodocianych istnieją wieczorowe techniki dla pracujących, do których uczęszczają robotnicy wykwalifikowani. Liczba kształcących się w tych czterech technikach robotników przekracza ostatnio 2.000 osób, zjawisko nie notowane w żadnym państwie kapitalistycznym. Podkreślają to również i wydawnictwa UNESCO — sekcji do spraw oświaty dorosłych.

A więc praktycznie biorąc, każdy pracujący bez względu na miejsce zamieszkania ma zagwarantowaną możliwość kształcenia się aż do uzyskania patentu ukończenia wyższych studiów zawodowych. Znaczna część pracujących korzysta z tych zdobyczy, które ongiś znaczyły się hasłami wypisanymi na sztańdarach pierwszomajowych. Liczba pracujących i studiujących jednocześnie osób wzrasta stale i wzrastać będzie w latach najbliższych w

stopniu znacznie większym niż w latach ubiegłych.

Kiedy i maja 1945 roku na transparentach niesionych przez robotników Polska Partia Robotnicza zapowiadała szeroki dostęp do szkół, wyrugowanie ciemnoty, „stworzenie nowego ładu poprzez wdrażanie do rozsądnego myślenia”, nawet optymiści twierdzili, iż jest to zadanie gigantyczne, obliczone na kilka co najmniej pokoleń.

Wystarczyło osiemnaście lat, aby zmienić zasadniczo psychikę narodu, stworzyć warunki do pełnej realizacji ogłoszonego programu.

Hasła pierwszomajowe stały się osiągalne, sprawdzalne. Nie mamy powodów ukrywać ani drogi, ani metod używanych w okresie ich realizacji.

## II

Powiedzmy sobie szczerze: wiadomość o tragicznej śmierci popularnego, lubianego pisarza E. Hemingwaya przyjęła nasza młodzież z rozczarowaniem. — Jak to? Czyżby rzeczywistość bał się tych ostatnich kilku czy kilkunastu lat? Nawet, gdyby miały być pasmem udręki, ciężkich, nekających chorób? Pisarz takiej klasy? Tyśiące młodych ludzi w Polsce wciąż jeszcze nie daje wiary tej wiadomości. Dziesiątki tysięcy młodych ludzi wychowało się bowiem w atmosferze walki. Dobrowolna ucieczka od życia to dezercja, w najlepszym wypadku dowód słabości.

W 1938 roku popełniło samobójstwo lub usiłowało je popełnić ponad 8.000 młodych Polaków w wieku od 18 do 30 lat. Większość podawała niemal ten sam powód: rozczarowanie życiowe, brak perspektyw, niewiara w sens życia. Stosunkowo nieznaczna część — zawód miłosny. W Europie liczba ta była osmiokrotnie większa, na obu półkuliach sięgała niemal 180.000.

Wstrząsająca, tragiczna liczba. Nikt prawie już o tych sprawach nie pamięta. Zatarły się w pamięci ludzkiej, uszły uwadze statystyków, którzy wolą pisać książki o starzeniu się ludności, udowadniając, jak bardzo przedłuża się wiek człowieka, stawiając optymistyczne horoskopy na przyszłość.

A jak jest dzisiaj? Nie rozporządzam oficjalnymi danymi statystycznymi, wolno jednak na podstawie uzyskanych źródłowych informacji twierdzić, iż ilość samobójców, względnie osób usiłujących targnąć się na życie, jest znikoma, wśród młodego pokolenia równająca się dosłownie zeru. Mimo wszystkich trudności, mimo narzmielających w różnych neorealistycznych punktach świata konfliktów.

Zadane bodaj pokolenie nie kochało tak życia, jak to, które rośnie, kształtuje się w naszej rzeczywistości. Nie tylko dlatego, że jest ono bezpośrednio zaangażowane w wielkiej budowie, nie tylko dlatego że tworzy plany perspektywiczne, ale i dlatego że oczekuje kolosalnych zmian związanych z olbrzymimi osiągnięciami na polu naukowym, w szczególności zaś w dziedzinie fizyki, chemii, w ogóle nauk ścisłych. Zmiany te rzutować będą na osobiste życie ludzi, ich poglądy, zainteresowania, wzajemne stosunki, organizację społeczeństwa. Młodzi ludzie, którzy są rówieśnikami naszego państwa, słusznie sądzą, iż będą w pełni uczestniczyli w tych przeobrażeniach, iż dzieło rozpoczęte przez Gagarina stanie się ich własnością, że za dwadzieścia — trzydzieści lat święto 1 Maja obchodzone będzie nie tylko na naszej planecie, a hasła na transparentach pierwszomajowych głosić będą olbrzymie zwycięstwo geniuszu ludzkiego.

Nie dziwnym się tym młodocianym marzeniom. Są uzasadnione. Przeobrażenia, których jesteśmy świadkami — tylko jedno pokolenie — pozwalają na snucie najbardziej fantastycznych planów.

Stąd właśnie wywodzi się optymizm młodego pokolenia, stąd troska o przedłużenie życia, która znajduje swój wyraz w licznych pamiętnikach nadsyłanych na konkursy, w dyskusjach z uczonymi, w swobodnych wzmiankach zdań na spotkaniach towarzyskich.

Dlatego też i stosunek młodego pokolenia do Święta 1 Maja jest inny niż nasz w latach dwudziestych. Jest bardziej rzeczowy, mniej sponianiczny, jest oparty o konkretne doświadczenia.

Ale jest też zarazem znacznie pogodniejszy niż dawniej. Coraz częściej bowiem słyszy się poglądy, iż 1 Maja to przede wszystkim święto młodych, święto słońca, uśmiechu, optymizmu. I dlatego prawdopodobnie w naszej epoce w dniu tym jest coraz mniej oficjalnych wystąpień, mniej obietnic, mniej podniosłych mów.

Wystarczy przejść ulicami wszystkich miast i miasteczek, wszystkich gromad, aby gołym okiem dostrzec przemiany. Nie są one oczywiście wszędzie jednakowe. I te dysproporcje spędzają starszym sen z powiek. Są jednak zarazem i bodźcem do dalszych zmagaj, uczą, że walczyć warto. Wiemy: szlachetna myśl ludzka jest jak słońce pierwszomajowe: rozjaśnia mrok, ogrzewa wyciągnięte, zziębnięte dłonie, napawa otuchą.

Dzień 1 Maja to oczywiście święto międzynarodowe, święto proletariatu. Jest jeszcze i Dniem siły i świadomości klasy robotniczej.

Waldemar Babinić

## Odległość od pocztówek

ZYGMUNT BRZOZOWSKI

AM przed sobą kilkanaście kart pocztowych przedstawiających fragmenty Białegostoku z lat 1912—1938. Jest już rok 1963, a więc część moich kart liczy sobie lat ponad 50.

Ulica Warszawska na pocztówce z roku 1912 jest podobna do obecnej

Warszawskiej. To samo fragment pałacu Branickich — obecna siedziba Akademii Medycznej. Wszystkie pozostałe fragmenty ulic i okazałych budynków z okresu przedwojennego nie przypominają miasta, w którym żyje. Np. białostocki Ratusz z r. 1938. Nie tylko brak podobieństwa, ale wy-

daje się nieco zabawy. Bynajmniej nie reprezentacyjny — niski, przysadzisty. Pod ścianami tego zabytkowego obiektu siedzą na beczkach ludzie handlujący śledziami i naftą.

Porównajmy tę pocztówkę z budżetem Białegostoku z lat 1930—1938. Czytamy: „Na kulturę, łącznie z utrzymaniem domów starców i sierot — 50 tysięcy złotych rocznie”. Czytamy dalej: „Pensja prezydenta miasta wraz z dodatkami za dojazdy i inne — 45 tysięcy złotych rocznie.” Jest też rubryka mówiąca o tym, że na działalność radiową w Białymstoku przeznaczona jest 500 złotych rocznie. Wprawdzie Rozgłośnia Radiowej w Białymstoku nie było, ale ktoś przecież tę tak zwaną działalność „prowadzić” musiał. W ogóle, to wszystko wydaje się śmieszne. Stare fotografie miasta wojewódzkiego i budżet, którego przychód nie może dorównać rozchodowi.

Patrzę na obecną ulicę Lipową, na tak zwaną Trasę W-Z albo Curie-Skłodowskiej, porównuję z pocztówkami i dochodzę do wniosku, że mieszkańcy w Białymstoku zupełnie innym, w Białymstoku, którego do nie-darania nie było.

Dziesięć lat temu wystarczał mieszkańcom Białegostoku jeden teatr i jedno kino (mieliśmy sporo amatorskich zespołów antystroncznych, nie-mal w każdym powiecie, a nawet w każdej fabryce, były zespoły amatorskie, ale program tych zespołów był bardzo różny) i to nam wystarczyło. A dziś? Dziś mamy 9 kin i własny ośrodek telewizyjny. Białystok rośnie jak na drożdżach.

Mamy 12 klubów inteligencji, literatów, którzy mogą się poszczycić dorobkiem książkowym jest tylko pięciu, ale Klub Literacki liczy 26 członków i każdy z nich coś pisze.

# BIBLIOTEKARSKIE MEDITACJE

LUDMILA TOKARSKA

GALOWO miało wypaść otwarcie roku oświatowego 1962/63 naznaczone na 15 września. Wprawdzie deszczowe lato opóźniło nieco więcej wrzesień i październik były najbardziej pracowitymi miesiącami, zwalżyły się omloty, kopanie ziemniaków, podorywki, huk innych robót na rozrywki kulturalne nikt na wie nie miał czasu, ale ponieważ gdzieś tam zafajkowano taki właśnie termin — później nastąpiła cisza. Konsumenci dóbr kulturalnych podawanych przez miejscowe placówki k.-o. poszli miotać, kopać, orać, siać, a także odwozić plody matki-ziemi do punktów skupia. Wrócili w listopadzie, kiedy spełnił swój gospodarski obowiązek.

Czy ów wrześniowy fajerwerk zapisał się w ich pamięci złotymi zgłoskami — nie wiadomo. Tak więc, realnie rzecz biorąc, rok oświatowy rozpoczął się pod koniec listopada i nie miał szczęścia. Mimo hucznych otwarcia, giadkich przemówień wygłaszanych przy okazji inauguracyjnego, ostatni sezon czytelniczy, oświatowy, kulturalny, czy jak tam się go nazwie, był pechowy. Pechowy dla wiejskich i małomiasteczkowych placówek k.-o., a szczególnie dla bibliotek. Sroga w skutkach swych zima szczególnie boleśnie doświadczyła bardzo wiele placówek kulturalno-oświatowych, a spośród nich w największym procencie oczywiście biblioteki (mowa tu o województwie rzeszowskim). Oszczędność węgla spowodowała zamknięcie pewnych instytucji, placówek usługowych, między nimi znalazły się i biblioteki. Wszyscy rozumieliśmy powagę sytuacji węglowej, tylko czy zawsze jednak zarządzenia dotyczące bibliotek były sensowne? Kierownicy wydziałów kultury prezydium PRN, czasem bezosobowo prezydium (przewodniczący) wydawali zarządzenia: „...z powodu trudności na rynku opałowym zamyka się bibliotekę od dnia... aż do odwołania”.

Wprawdzie w bibliotecznych szkodzikach znajdowało się po 300 lub 500 kg węgla, który nikomu innemu (np. szpitalom, piekarniom itp.) nie był potrzebny z tej prostej przyczyny, że we wsiach na ogół innych placówek nie ma, niemniej jednak wiele bibliotek zamknięto. Działo się to w miesiącu styczniu roku oświatowego 1962/63. Nie rozdzieram nad tym szat. W wielu wypadkach i w pewnym okresie dymy mogło to być słuszne, ale ponieważ książka nie jest jednak dla wszystkich artykułem pierwszej, ani drugiej potrzeby, więc w pewnych powiatach ten wyjątkowy okres zaczęto z niewyjaśnionych powodów przedłużać. Wielkie mrozy dawno się już skończyły, polepszyła się sytuacja węglowa, zaczęto realizować nawet

(Dokończenie na str. 5)

Trzeci tom Rocznika Białostockiego — to niewątpliwie dorobek naszego Towarzystwa Naukowego, które nie ogranicza swej działalności do województwa białostockiego. Jest ono jednym z najprężniejszych towarzystw naukowych w kraju.

Dla ośrodka telewizyjnego zlecono już opracowanie dokumentacji do ośrodka studyjnego, którego oddanie do użytku przewiduje się w roku 1964. Dopiero w całości będzie to Wielki Pomnik Tysiąclecia Państwa Polskiego na Białostocczyźnie. Obiekt, którego korzyści nie da się wyliczyć w złotychkach. Na pewno będzie to duży, olbrzymi krok naprzód w rozwoju kultury.

Przyglądam się kartom pocztowych i porównuję fragmenty starego i nowego. Stary parterowy Białystok uwieczniony przez nieznanego fotografa, i ten dzisiejszy Białystok — nowoczesny. Czas niezbyt odległy, ale za przebyta droga długa i uciążliwa. Czy to znaczy, że zaspokoiłszy potrzeby? Chyba teraz dopiero widzimy, ile jeszcze zrobić trzeba. Gdybyśmy w chwili pomnożyli cały nasz dorobek to też nie mielibyśmy powodów do spokoju. Apetyt rośnie w miarę zżerania. A zaspokojenie go zależy od nas samych.



Foto: J. Bereżański

Zabytkowy Ratusz w Białymstoku. Siedziba Muzeum Regionalnego.



ANATOL STERN

## Mewy z Nesseberu

FRAGMENT POEMATU

Bulgario  
szedłem po kamiennych stopniach stuleci  
zwidziłem wszystkie twego kraju zakątki  
widziałem wulkany dymiące róż zapachem  
wyrzucające z kraterów millardy cerkiewek —  
malowane w karminowe róże pokryte drewnianą  
kopułką  
ukrywały w swym wnętrzu słodką kwintesencję  
z płatków

laboratorium marzeń skroplonych  
kropłą tego czarnoksięskiego wywaru  
naclerają sobie kobiety kark, końce uszu  
dość jednej kropki  
aby mężczyzna na zawsze pożądał kobietę  
poznałem huty huczące  
elektryczne rzeki  
szklane domy  
które Czarne Morze napelnia swym szumem,  
miasta sprzed wieków  
odmłodzone twardą melodyjną mową  
przez twych poetów

Bulgario  
byłem w cerkwi Bojana  
gdzie w słoneczne południe śpiewają głośno słowiki  
a bizantyjski Zbawiciel o żrenicach ze smoly  
uczy świętych Giotta  
czym jest  
ludzkie  
cierpienie

Tego dnia  
byłem obłokiem  
nad morzem Czarnym Morzem  
otworzyło przede mną swe wnętrza  
jak rozcięta na polu brzoskwinia  
widziałem morskiego diabła  
z jego wypukłych ślepi sączył się jadowity atrament  
zarażał wszystko strontem  
zamiatał ślad po sobie galeretowatymi pletwami  
plierzchały przed nim ze zgrozą Chrystusowe rybki  
tak! to te same  
ujrzawszy na ich łusce tęczyową znak krzyża  
rybak ostrożnie je wyluskuje z haczyka  
i rzuca z powrotem do morza  
widziałem doryckie miecze tasaki janczarskie  
zardzewiałe orły rzymskie  
klekocące walczyły z dnem próżno się zrywały do lotu  
wypływał z wirów

wrak norweskiego okrętu  
nad którym kraby objęły komendę  
— największy  
wpatrzony żarłocznie w beznosą dziewczynę  
zajął miejsce wikinga na rufie  
wciąż jeszcze wznosiła rękę do góry  
Gdy wybuchł wulkan podmorski  
i burza wstrząsała głębiną  
ukazywało się 40 rudych dziewcząt z Kallakry  
słyszałem ich śpiew pod czarnymi falami  
ta pieśń brzmiała w morzu nad morzem  
i cierpkim brzmieniem upartej melodii  
odblerała zmysły syrenom  
Rakija czeka

Żegnaj rozsądku  
spotkamy się jutro.

### Z poezji czeskiej

LUDWIK ASZKENAZY

## Okupacja

Potomku jeszcze nie narodzony, zaraz ci wyjaśnię,  
co to była okupacja.  
Nadciągnęli samochodami, ciężarówkami  
[i pancerkami;  
z nieba sfrunęło kilka tysięcy wyszkolonych  
rosłych młodzieńców. Spadochrony mieli z jedwabiu  
odpowiedniego na szeleszczące bluzki,  
[General popatrzył ze wzgórza  
przez lornetkę i polecił.  
Ta ziemia, mlekiem i miodem płynąca,  
[niech tym samym  
trudni się nadal. Mleko dostawić do mleczarni,  
miód zebrać w intendenturze,  
broń zdać w ratuszu, Żydzi na stadion,  
rejestracja pracujących w szkołach.  
Podłogi wyszorować, sklepy otworzyć,  
Zapewnić świeżą pościel. Ogłaszam stan wyjątkowy.  
Polem dowództwo podziwiła zachód słońca  
z okupowanych balkonów.  
Oficerowie gratulowali sobie nawzajem mówiąc:  
Jak mogliśmy ten piękny kraj pominąć w naszych  
planach wojennych? Nie zasłużył na to.

Szept

Słyszałem syczenie dogasających miast.  
Przypominało głosy sąsiadek z przedmieścia.  
Kiedy ramy trzaskały, to była agonía okien.  
Słyszałem, jak mówią miasta i jak pewne miasteczko  
szepotało. Nazywało się Ozugujew, niedaleko Charkowa.  
Dziś jeszcze słyszę skrzyjące drzwi na wieżrze,  
brzęk rozbitej szyby,  
basowy akord fortepianu,  
stłumiony śmiech, urwany niespodzianie,  
przedziwny śmiech kobiecy pieszczotą przepelniony.  
To właśnie ogień szyderczo powtarzał  
ostatnie słowa opuszczonego miasta.  
Zostały tylko okna —  
czarne dziury w ścianie  
i wiatr co świszcząc  
młotał w nie deszcz i śnieg,  
opadłe liście, zwidłe trawy, trujący kurz.  
Słyszałem, jak szeptało miasto umierające.  
Boję się od tej pory szeptu w ciemności.

## Wózek

Nie wiedziała, jaką nazwę ma ta niemiecka ulica,  
[ale przystanęła  
i zeskoczyła z wojskowego samochodu. Na chodniku  
[stał porzucony wózek,  
staromodny, czarny o wysokich kółkach.  
Nie będę tam zaglądać — powiedziała do siebie —  
[nie będę. Bo jeszcze  
mógłby się mnie przestraszyć.  
A zresztą, co bym powiedziała, jeśli nie umiem  
[po niemiecku.  
Umieję tylko:  
Du!  
Hände hoch!  
Ale nie wypada, bo nie potrafi podnieść rąk do góry.  
Pewnie go zawinęli.  
Muszę coś wymyśleć. Powiem mu:  
Du! Bald zwanzig Jahr. Du viel essen.  
[Du viel Kinder  
machen.  
Du leben. Du leben lassen.  
Du kleiner, Du Kind!  
I wszystko to mu powiedziała.  
Wózek milczał. Była w nim „pięść pancerna”  
zawinięta w niebieską plerzynkę.

Przełożył Jerzy Pleśniarowicz

### Listy o poezji (21)

## MAŁA MORALISTYKA

ANNA KAMIENSKA

Jesteś poetą? I masz odwagę  
przyznać się do tego?

UCZCIWY, rzetelny poeta. — Zda-  
rza mi się niekiedy używać tych  
określeń w rozmowach i w re-  
cenzjach poetyckich. Niedawno spot-  
kałam się w odpowiedzi z ironiczną  
repliką:

— Uczciwy poeta? Oczywiście, nie  
kradnie, nie pije, nie robi małwersacji!

Dlatego też chciałabym wyjaśnić tę  
wcale niebagatelną sprawę.

Przed wszystkim musimy sobie  
uświadomić, że wszystkie terminy, ja-  
kich używamy mówiąc o poezji, są  
skażone impresyjnością, psychologizo-  
waniem, metaforycznością. Terminy  
ścisłe, naukowe — jeśli takie istnieją,  
dotyczą samego wiersu, roboty, war-  
stwy stylistycznej. Nie są one również  
naukowo obiektywne, lecz wynikają z  
przyjęcia określonej konwencji poe-  
tyckiej jako modelu. Terminy przyję-  
te dla jednej konwencji literackiej za-  
wodzą w odniesieniu do innej. Wtedy  
naukowcy mówią, że ta inna poezja  
ich nie interesuje, odrzucają ją lub  
ignorują. Stąd paradoksalne zjawisko,  
że badacze stylu poetyckiego tak czę-  
sto czerpią przykłady ze złej lub słab-  
szej poezji, tylko dlatego, że leży w za-  
siegu ich koncepcji, że poddaje się ich  
narzędziom badawczym.

Lecz poezja jest złożona i wielostron-  
na, jest skomplikowanym mechaniz-  
mem, milczącym dla tych, którzy nie  
posiadają mechanizmu wrażliwości na-  
stawionego na tę samą falę. Jest to  
również sprawa zakresu doświadczeń  
i przeżyć, do których odwołuje się  
poeta, a wreszcie sprawa smaku lite-  
rackiego będącego zarówno wynikiem  
opłaty i wykształcenia, jak i osobi-  
stych dyspozycji.

Dlatego to właśnie tak trudno jest  
mówić o poezji. Dlatego chcąc o niej  
mówić, tak często musimy korzystać  
z określeń nieprecyzyjnych, subiek-  
tywnych, metaforycznych.

Uczciwość w sensie poetyckim i ar-  
tystycznym jest właśnie taką metafo-  
rą, posiadającą jednak rozległy sens.

Każda dziedzina sztuki, każde śro-  
dowisko tworzące ma swoje ambicje i  
ambicji, wielkie i małe współzawod-  
nictwo: wielkie — współzawodnictwo  
sztuki, małe — współzawodnictwo in-  
teresów. Wraz z krytyką, wraz z moż-  
liwościami popularyzacji danej sztuki,  
wraz ze względami mody i snobizmów  
uszelkiego rodzaju oraz powiązań to-  
warzystkich — tworzy się gąszcz trud-  
nej i zagmatwanej sytuacji artysty.  
Na czym polega ta trudność? Przede  
wszystkim, choć sztuka wymaga po-  
siadania własnej twarzy, trudno jest  
utrzymać w tej sytuacji własną twarz,  
własną artystyczną postawę i godność.

Trudno — bronić swojej choćby naj-  
mniejszej prawdy. Z wielokierunkowe-  
go działania bodźców i względów ko-  
merycyjnych — tworzą się kapliczki,  
stadne nastroje i epidemie wyobraźni.  
Nie jest to tylko ogólna aura arty-  
styczna współczesności — oddziału-  
jąca na wszystko atmosfera czasu,  
nie do uniknięcia, ale drobne, mało-  
ślikowe często zabiegi, naśladownic-  
twa, podpatrywanie. Są tu też drobne  
kieszonkowe, rzecz by można, kradzie-  
że, nie zawsze w pełni uświadomione  
i większe małwersacje dokonywane w  
celach osiągnięcia sukcesu na drodze,  
która przyniosła sukces innym. Cza-  
sem, a nawet często, zabiegi te udają  
się. Wystarczy trochę inteligencji, aby  
zatrzeć ślady, aby upozorować auten-  
tyczność poetycką.

Nie tylko przecieź oryginalność de-  
cyduje o uczciwości artystycznej, ale  
właśnie autentyczność polegająca na  
tym, że poeta rzeczywiście przeżywa  
sprawę, o której pisze, i szuka naj-  
właściwszego dla nich wyrazu, że są  
to jego własne sprawy.

Kiedy mówię o uczciwości poety,  
myślę o tym, że nie ulegając świado-  
mie ogólnym modom i manieryzmowi,  
zarówno dotyczącym problematyki,  
jak i języka poezji, poeta broni swego  
własnego świata, broni niezależno-  
ści tego świata, który w oficjalnych

osądach krytyki i cmokierów literac-  
kich zdawać się może nawet ciasny i  
marginesowy. Poeta uczciwy draży  
swoją prawdę, swoją problematykę  
artystyczną, broni swojej miary w  
ocenie świata.

Miłość, przyjaźń i sztuka — to są  
trzy rzeczy świata tego wymagające  
stałej i nieustannej uprawy, jak ogród.  
Ciasna może być dla kogoś ta poetyc-  
ka gręda, ale to bardzo wiele —  
uprawiać ją z zaparciem, pracowicie  
i cierpliwie.

Kiedy mówię o uczciwości poety,  
myślę o tym, że dla poklasku nie zmie-  
nia on swojej osobowości. Zbyt łatwe,  
zbyt częste przelomy, zbyt wiele wcie-  
leń stylistycznych u jednego poety w  
krótkim czasie — to budzi niepokój i  
niedowierzanie, jakkolwiek z ręczne  
byłyby te przeobrażenia.

Kiedy mówię o uczciwości poety,  
myślę oczywiście o tej postawie  
skromności wobec sztuki, która nie  
ubiega się jednocześnie o nieustające  
sukcesy, a nawet potrafi znieść za-  
poznanie i niedoceniaenie, co jest prze-  
cież nieomal bohaterstwem.

Słowem — kiedy mówię o uczciwo-  
ści poety — przenoszę jego postawę  
moralną wobec sztuki i tworzywa  
poetyckiego ponad doraźne powode-  
nie i zgodność z ogólną tonacją czasu.

Omawiając konkretne książki poe-  
tyckie, szukam w nich przede wszyst-  
kim cech wierności swojej, najmniej-  
szej bodaj, prawdzie i to stanowi dla  
mnie raczej pracy twórczej danego  
poety. Znajduję często więcej warto-  
ści w skromnych i nie bardzo blisko-  
tliwych ksiązkach poetów, których się  
nie lansuje — niż w okrzyczanych i  
popartych wyrobionym nazwiskiem to-  
mach innych twórców.

Zarzuci mi ktoś, że gardluję tu za  
poezją „małego lotu”. W myśl zasady  
uboga, ale uczciwa. Zarzut ten wyce-  
lowany byłby jednak znowu z pozy-  
cji zadufanej w siebie psychy. Chciał-  
abym po prostu doradzić ludziom krę-  
cącym się w pobliżu sztuki — wię-  
cej skromności i więcej aceptyzmu.  
Co wielkie, a co małe — ocenią po  
nas przyszłe pokolenia. Współcześni  
mylą się w tych sprawach w sposób  
często dla potomnych zdumiewający.  
Nie jest tak bardzo pewne, która myśl

toruje drogę przyszłości, jaka wyobra-  
nia prawdziwej oddaje swój czas —  
krzykliwa i jaurna, czy też z głębsze-  
go dna, ukryta lub mniej efektowna.  
Mając lat dwadzieścia — feruje się  
wyroki i oddaje się głowie za swoje  
sądy. Potem zabrakłoby nam własnych  
głów.

Nie byłoby poezji wielkiej, bez owcej  
uczciwej i rzetelnej poezji „małej”  
stanowiącej powszedniość życia literac-  
ckiego i nadającej jej barwę. Nie by-  
łoby święta bez dnia powszedniego  
wymagającego więcej wytrwałości i  
trudu.

To prawda, Horacy przestrzegał poe-  
tów, że jeśli nie zdobędą szczytów —  
otwarte będą dla nich tylko przepa-  
cie. Ale nie bądźmy aż tak okrutni.  
Oprócz spraw sztuki poezja ma na  
głowie wiele trudnych problemów epo-  
ki, które podejmować musi wszelkimi  
siłami. A może i w sprawach kultu-  
ry działa też swoista erozja, spluku-  
jąca nieco i obniżająca artystowskie  
szczyty, aby były nam bliższe.

HELENA PLATTA

## Echa burzy

Z cyklu „Lubelskie ziola”

Goryczą wszystkich ciemnych ziół  
napoi źródło leśnej barwy  
paprocie w strzępach, wilezy dół  
odrostki klonów w gęstwie tarnin.

Piersią rozdzierać w bólu wrzosa  
szukając w kretowiskach larw  
gdy echem woła pod niebiosa  
wyjący chłosta wiatru staw.

Modraszek nad okwiatem świdy  
migotem niepokoju błyska  
w kąpie utonął krzyk rybitywy  
by deszczem w liściach się

[rozpryskać

a oto z ziół i burych zielsk  
paruje zapach co odziera —  
po zagajnikach cichnie wir  
echem oddechu mija burza.



# WSPOMNIENIE

## IGOR POSTUPALSKI

drożisz, jak Makbet, krow' smywają, —  
gladi: les wisielic w Sofiji.

Czoby spugnut' powskiu son twoj, trup s Marny tianetsa uporno.  
Gladi: korabl na horizontie, —  
to „Kniaź Potiomkin” z flagom czornym.

Drozi! Wiersal — nie pomoszcz: pozdno!  
Naprasny flagi, ryk orkiestrow; won ruki trub podjaty grozno;  
Baku, Dombrowa, Rur, Mancziester.

Mimo to pomyślałem wówczas, że Szengielł tłumaczył Broniewskiego raczej przypadkowo. W każdym razie nie zauważyłem później w się nadal interesował poezją polską. Wśród poetów, których tłumaczył w latach 1930—1940, był W. Hugo, Byron (wszystkie dzieła poetyckie), turkmeński klasyk Machtumkuli, Estończyk Barbarus i inni.

Dopiero krótko przed śmiercią Szengielgo dowiedziałem się, że jednak interesował się on poezją polską — bardziej niż mi się zdawało. Otóż na początku 1956 r. byłem gościem Szengielgo. Oprócz mnie był pisarz Sergiusz Malaszkin i tłumacz prozy ukraińskiej Iwan Dorba. Kiedy padło nazwisko Broniewskiego, Jerzy podniósł się z fotela:

— Tłumaczyłem kiedyś Broniewskiego! Lubię jego wiersze i pamiętam je po polsku. I zadziwiająco obecnych, wyrecytował z patosem:

Na morzach, na morzach dalekich,  
ponad greckie wojenne okręty,  
na skrzydłach szeroko rozpiętych,

lekkich,  
na dziobie wojennej nawy...  
Itd.

Potem odwiedziłem jeszcze raz Jerzego. Siedzieliśmy we dwóch. Między innymi znów mówiliśmy o poezji, a ściślej o wersyfikacji polskiej (ten poeta-naukowiec przygotowywał wówczas pracę na ten temat). Dokładnie — poruszyliśmy sprawę tonicznego wiersza Broniewskiego. Szengielł poinformował mnie, że zamierza w swojej książce dać szereg przykładów również z polskiej wersyfikacji. Potem zwrócił się do mnie z prośbą, bym dał mu na kilka dni zbiór wierszy Broniewskiego. Kiedy jednak przyszedłem doń z tomem „Wierszy zebranych” z 1956 r., Jerzy przywitał mnie słowami:

— Już zdobyłem, już kupiłem tę książkę!  
Znów rozmawialiśmy o Broniewskim, o wierszu tonicznym w ogóle; okazało się przy tym, że Szengielł zna trochę Iwazkiewicza, Słonińskiego. Jerzy analizował poetycką technikę Broniewskiego w utworze „Magnitogorsk, albo rozmowa z Janem”, przy czym kłął na „dyletancki” przekład Marka Ziwowa. Potem rzekł:

— Muszę o tym wszystkim powiedzieć w swojej pracy.

Niestety, wkrótce Szengielł ciężko zachorował i niebawem zmarł.

Konstanty Paustowski mówi w swoich ciekawych wspomnieniach, że Szengielł był człowiekiem szlachetnym. To prawda! Była to nieco „staremodna” szlachetność, która nie wszystkim się podobała. Również klasyczne raczej upodobania poety drażniły jego przeciwników (zaszkodził mu bardzo jego spór z Majakowskim w 1927 r.). Wszystko to sprawiało, że czasem nie doceniano twórczości Szengielgo. Mówiono głównie o nim jako o tłumaczu i to nie zawsze pochlebnie. Tymczasem oryginalna twórczość Szengielgo, jak to słusznie podkreślał A. I. Bielecki (niestety, też już zmarły), również zasługuje na uwagę. Sądzę, że także polscy tłumacze znajdą szereg wartościowych utworów tego poety, zwłaszcza w głównych jego tomach „Planier” (1935) oraz „Izbranyje stichi” (1939).

**J**ERZY (Georgij) Arkadiewicz Szengielł (1893—1956), wybitny rosyjski poeta, tłumacz, filolog. Znałem go dobrze. Poznałem go na początku 1930 r. — wtedy właśnie, gdy w junackim zapale, czy przez moją ówczesną trochę „lefowską” pozycję, wyrządziłem mu literacką krzywdę. W redakcji pisma „Nowyj Mir” spotkałem go w towarzystwie poety Marka Tarłowskiego, który mnie z nim zapoznał. Wtedy Szengielł zaczął mi udowadniać, że krytykując go niewłaściwie zacytowałem urywek jego teoretycznej rozprawy i że dlatego wpadłem w demagogię. Od tego czasu rozpoczęła się nasza znajomość czy wręcz przyjaźń.

Mógłbym długo mówić o tym niepospolitym człowieku, lecz pragnę ograniczyć się tu do jego stosunku wobec poezji polskiej, zagadnienia tego bowiem dotąd nie poruszano.

Gdy w r. 1932 moskiewski „Goslitizdat” (Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej) przygotowywał do druku pierwsze rosyjskie wydanie wierszy Władysława Broniewskiego, zaproponowano mi przetłumaczenie kilku jego utworów. Nie znałem wtedy prawie polskiej mowy (wprawdzie ojciec mój był Polakiem, lecz zmarł, gdy byłem dzieckiem, i wzrastałem między Rosjanami), jednak propozycję przyjąłem, gdyż posiadałem pewną wiedzę o literaturze polskiej, czytałem ją w rosyjskich przekładach, gromadziłem nawet tłumaczenia poetów polskich. Przełożyłem wiersz „Pionierom”, „Poezja”, „Szpicel”; zaglądałem trochę do oryginałów, lecz głównie korzystałem z dosłownego przekładu, który przygotował mi mój brat sławista.

Gdy zbiorek Broniewskiego ukazał się, zauważyłem wśród innych wierszy „Nike” w tłumaczeniu Szengielgo. Zdziwiłem się nieco, gdyż znałem go głównie jako tłumacza poezji francuskiej (już wtedy przełożył prawie całość Verhaerena) i niemieckiej. Z prawdziwą satysfakcją czytałem np. taką strofę Broniewskiego:

Jewropa! Noc' wisit głuchaja.  
No son niejdiot w glaza pustyje,

## Z JANEM DROHOJOWSKIM O MEKSYKU, DYPLOMACJI ITP.

— „Maj 1944. Santa Monica w Kalifornii. Mały, wygodny domek na skale, o którą rozbijają się fale Oceanu Spokojnego. Ogródek z kwiatami, przed którymi widzę kolibry mieniące się w słońcu. Pora obiadowa. Jest nas czworo. Mówi niewiele, ale doceniając wagę własnych słów, pan domu, Tomasz Mann”. Tym opisem rozmowy z wielkim pisarzem i humanistą rozpoczął pan swoje „Wspomnienia dyplomatyczne”. Sporo miejsca poświęcił pan w nich Meksykowi — krajowi swego pierwszego powojennego urzędowania dyplomatycznego. Wiele się dziś pisze o tym kraju w naszej prasie. Ciekawy ze względu na swą przeszłość i teraźniejszość. Kraj rewolucyjny antyfeudalny z 1910 r., pierwszej na świecie reformy rolnej z 1915 r., bardzo postępowej — jak na owe czasy — konstytucji z 1917 r., wprowadzającej m. in. całkowity rozdział między kościołem a państwem. Ale rewolucja meksykańska wypełnowała swoją ideologię, określając terminem „meksykanizm”. Jakie są jego źródła i na czym zasadza się współczesny meksykanizm?

— Mówiąc „meksykanizm” należy mieć na myśli — jeżeli się rozumie poprawnie — indianizm. Zaczniemy od współczesności. Meksyk rozwiązuje obecnie problem scalania ludności. metysów (60 procent), Indian (30,7 procent) i Kreolów (10 procent). Naród, który się obecnie kształtuje, to naród metysów. Fakt powolnego, ale stalego zanikania ludności indiańskiej nie stoi w sprzeczności z ruchem indianistycznym, zapoczątkowanym w latach dwudziestych naszego stulecia przez młodzież uniwersytecką i trzech malarzy meksykańskich: Diego Riverę Siqueirosa i Jose Clemente Orozco. Ci trzej artyści spotkali się w Paryżu opracowali manifest (ewangelii indianizmu) wydany później w Barcelonie, w którym powiedzieli, że kultura w Ameryce musi oprzeć się na tradycjach prekolumbijskich.

— W założeniu prąd ten miał objąć całą Amerykę?

— Tak. Wybitnym jego protagonistą był m. in. Mariategui — założyciel Komunistycznej Partii Peru. Znajdując on naśladowców w Gwatemali i dziesięciu innych krajów Ameryki Łacińskiej, w których większość ludności stanowią Metysi, bądź Indianie. Współcześnie indianizm zwalcza wpływy kosmopolityczne hiszpańskie (kler), amerykańskie (kultura techniczna) i francuskie (salony). W życiu gospodarczym i politycznym indianizm zakłada nacjonalizację zagranicznych przedsiębiorstw, kontynuując reformy rolnej, rozwój narodowych gałęzi przemysłu, placówek naukowych, podnoszenie oświaty.

— Od 1910 r. Meksyk był jedynym krajem konsekwentnie przeciwstawiającym się inwazji monopolu amerykańskich na pociąg od Rio Grande del Norte. Kilka lat temu uformował się antyamerykański front republik lacińskich. Po rolę przewodnika sięga Brazylię, którą radykalnością reform dystansuje Kuba. Jaki jest układ sił w trójkącie Meksyk — Kuba — Brazylię?

— Chodzi panu zapewne o rywalizację tych trzech republik w zakresie przewodzenia całemu kontynentowi?

— Tak.  
— Otóż nie można mówić o rywalizacji w pełnym tego słowa znaczeniu. Wszystkie narody Ameryki Łacińskiej łączą dążność do uniezależnienia się od wpływów monopolu USA, do rozwoju gospodarczego w oparciu o własne zasoby. Wszyscy też zdają sobie sprawę z tego, że niezawisłość polityczna nosi charakter czysto formalny i iluzoryczny, jeśli nie towarzyszy jej niezawisłość gospodarcza. Meksyk przestał być „laboratorium doświadczalnym” w 1940 r., tzn. z chwilą zakończenia kadencji prezydenta Cardenas. Nastąpiło zahamowanie procesu rewolucyjnego. Nowy eksperyment w skali kontynentu rozpoczął się po zwycięstwie rewolucji na Kubie. Była ona gestem rozpaczliwym, który po wywołaniu spod jarzma hiszpańskiego przeszedł pod kontrolę USA. Na pierwszym etapie rewolucja kubańska czer-

pała natchnienie z doświadczeń meksykańskich, m. in. protektorem Fideia Castro i jego dwudziestu sześciu brodaczy był Cardenas. Stanowcza opozycja wobec rewolucji departamentu stanu i Pentagonu (podległych monopolom), awantury inwazyjne skierowały proces rewolucyjny na Kubie ku bardziej radykalnym społecznym i politycznym rozwiązaniom. Brazylię i Meksyk entuzjastycznie biją brawo kubańskiemu eksperymentowi. Z uwagą śledzą wydarzenia na tej wyspie elity intelektualne innych państw lacińskich półkuli zachodniej. Jeżeli eksperyment się powiedzie, Meksyk i Brazylię będą czerpały z jego wyników. Dla „reżimów bananowych i kontynentalnych” fideizm jest środkiem szantażu wobec USA, które muszą głęboko sięgać do worka, aby subsydiować tzw. „sojusz w imię postępu”. Posiłkując się terminologią wojskową można powiedzieć, że Kuba jest szpicą, Meksyk i Brazylię — awangardą, pozostałe republiki — siłami głównymi; wszystkie w marszu ubezpieczonym.

— Kilka lat temu de Gaulle w czasie obiadu wydanego na cześć ambasadorów państw Ameryki Łacińskiej wysunął koncepcję stworzenia mostu lacińskiego na Atlantyku łączącego kraje o kulturze romańskiej. Czy są szanse jej realizacji?

— De Gaulle wybiera się do Ameryki Łacińskiej. Jeżeli pojedzie tam jako przedstawiciel Francji walczącej, będą mu bić brawa wszyscy łącznie z meżami stanu. Jeśli będzie akcentował swoje powiązania z Franco i Salazarem, brawami uraczy go tylko gawiedź, która bije brawa każdemu.

— Skoro jesteśmy przy Francji: dwa wybitne nazwiska — Richelieu i Talleyrand przywodzą na myśl czasy świetności dyplomacji francuskiej...

— ... Francja podtrzymuje swe pretensje do roli wielkiego mocarstwa — vide de Gaulle. Jeżeli ją utrzymuje, to w dużej mierze dzięki swej dyplomacji, która zręcznie waloryzuje na gruncie międzynarodowym zasoby kultury i tradycji swego narodu.

— W katalogu anegdot przekazano przez historię dyplomacji zdobywcę mat. Copan sadi o zapisu ambasadora brytyjskiego z XVII wieku, Henry Wottona: „ambasador — to ciwy człowiek wysłany za granicę, klamać dla dobra swojego kraju”.

— Określenie z gruntu fałszywym dawniej ambasador był przedstawicielem panującego wobec panującego, prezydenta kraju, do którego wysłany. Dziś jest przedstawicielem swego narodu wobec narodu, do którego został wysłany, i powinien nosicielem zalet i dobrej woli narodu, który reprezentuje. Lincoln powiedział kiedyś, że czasami można okłamać niektórych ludzi, ale nie można okłamać wszystkich i zawsze.

— Chateaubriand na tle ogromnego wzrostu obrotu gospodarczego w ubiegłym wieku wysunął swoją ostateczną tezę o zmierzchu roli ambasadorów i wzroście świetności konsułów...

— ... Przepowiednia nie sprawdziła się. Obie instytucje przeżywają dzięki swego rozwoju. Jeśli chodzi o ambasady, to znacznie zmniejszył się ceremonial a zwiększył zakres pracy merytorycznej.

— Ambasador był kiedyś nadzwyczajnym i pełnomocnym, mógł podpisywać traktaty, zobowiązywać do swiętego sposobu państwo, które reprezentował. A dziś?

— Dziś menażerami wielkiej polityki są przywódcy mocarstw. Ambasador ma bezpośredni kabel łączący go z centralą, to znaczy z MSZ. Obowiązkiem jego jest najbardziej właściwa interpretacja instrukcji. Tam, gdzie ramowa instrukcja nie jest wiążąca, powinienn umiętnie dostosować się do miejscowych warunków w zaleceniu od kontekstu międzynarodowego.

— Co panu nasuwa porównanie dyplomacji radzieckiej i amerykańskiej?

— W rozwoju dyplomacji od ustalenia wprowadzenia partnera w świat do zupełnej szczerości poczyniła dyplomacja amerykańska po II wojnie światowej posługuje się metodami średniowiecznymi. Departament stanu ofiaruje stanowiska zasłużonym pod względem finansowym aktywistom partii rządzącej, lub wysyła za morza „zgranych” polityków. Ostatnio jednak zaczynają tam cenić fachowość.

ZSRR wysyła za granicę dyplomatów przygotowanych do służby o tak specyficznych wymogach. Dyplomacja radziecka, która jest wolna od powiązań ekonomicznych z koncernami i monopolami, może i postępuje ze szczerością, która czasami nie jest brana za dobrą monetę. Dyplomaci starej daty przywiązani do nieszczerości i kręctwa skłonni są nie wierzyć bezspornie prawdziwej głoszonej przez dyplomatów naszego obozu.

— A propos dyplomatów starej daty: Jules Laroche — ambasador Francji w Warszawie i Maurycy Zamojski — ambasador Polski we Francji. Słabością obu były piękne kobiety?

— O, przepraszam, czy można to nazwać słabością?

— Wiadę nieśie, że Zamojski był oznaczony w Paryżu przez to, że miał powodzenie u kobiet, że strzelał do celów jak artysta cyrkowy, że nie rozmawiał z nikim prócz prezydenta republiki, premiera, ministra spraw zagranicznych i marszałka Focha'a.

— Zamojskiego cechowała wielkopolska nonszalancja. Owszem, miał powodzenie u kobiet. Sukcesy jego w tej dziedzinie były solą w oku wielu. Co do Laroche'a: ma za sobą tzw. świetną karierę. W czasie urzędowania w Konstancynie ożenił się bodajże z półwiantynką...

— ... która później przez wiele lat błyszczała w różnych salonach stołec europejskich.

— Podobno.

— Ma pan za sobą kilkadziesiąt lat aktywnej działalności dyplomatycznej: kultury konferencji warszawskiej, placówki dyplomatycznej w Paryżu, Hattin i Rzymie, działalność na emigracji, konferencja moskiewska z 1945 r., poselstwo w Meksyku i Kairze. Czy nie zechciałby nam pan zdradzić kilku konkretnych o charakterze „nieoficjalnym”?

— Proszę. Ploteczka rzymska. Wybitną osobistością wśród polskiego kleru w Rzymie był ksiądz Józef Florczak — członek Świętej Rady Rzymskiej i ważna osobistość w sprawach anulacji małżeństw. Raz zawezwał go papież i wręczył mu owiniętą w papierek damską szpilkę do włosów, mówiąc: „A to znałeziono w łóżku księdza prałata”. Wspomnienie costarikańskie. Będąc posłem w Meksyku wizytowałem swoje „parafie”. W 1946 r. wybrałem się do Brazylii. Zatrzymałem się w San Jose de Costa Rica. Jakiś wojskowy zbliżył się do mnie i powiedział, że czekał na mnie w budynku administracji lotnisk. Istotnie. Na schodach stał pan

(Dokończenie na str. 9)



przydali, a biblioteki były nadal zamknięte... aż do odwołania. Dopiero na skutek interwencji z „wyższego szczebla” kwarantannę odwołano, jak na przykład w połowie marca w powiecie brzozowskim, który miał być — w bieżącym sezonie nowymi, kompleksowymi ośrodkami kultury. W tymże powiecie węglowa kwarantanna dla bibliotek trwała prawie dwa miesiące z woli Prezydium Powiatowej Rady Narodowej i objęła nie tylko biblioteki na wsi, ale także Powiatową i Miejską Bibliotekę Publiczną. Bibliotekarze zaś na ten okres powiększyli szeregi urzędniczej kadry PPRN.

Oczywiście nie wszędzie tak się działo. W wielu powiatach placówki k.o. funkcjonowały normalnie i były otoczone troskliwą opieką ze strony

## BIBLIOTEKARSKIE MEDYTACJE

władz. Uważano, że w zasypanych śniegiem wsiach ludzie też mają prawo do jakiejś rozrywki — i co charakterystyczne, tak uważano w powiatach bardzo peryferyjnych, podczas gdy w tych „centralnych”, a równocześnie bogatych, na drzewiach bibliotek wisiały kłódki. I kiedy w powiecie rzeszowskim, jarosławskim, brzozowskim, debickim (itp.) biała kartka obwieszczała wszem wobec zamknięcie bibliotek i „...aż do odwołania”, w nadgranicznych wioskach powiatu np. lubaczowskiego w ciepłych czytelnicy i bibliotekach gromadzili się regularnie wierni książce czytelnicy.

Zima i srogi śnieg nie zdołały jednak całkowicie zahamować pracy oświatowej. Rok 1962 zamknęły biblioteki rzeszowskie liczbą ponad 260.000 czytelników, która w stosunku do roku 1961 jest większa prawie o 20 tysięcy. A więc uzyskano wysoką liczbę czytelników w stosunku do liczby mieszkańców wynoszącej 16,1%. Kończąc się sezon czytelnicy zaznaczył się też na szeroką skalę prowadzoną przez gromadzkich bibliotekarzy akcją kolportażu książek, szczególnie popularnonaukowych, w tym rolniczych. Zorganizowano również (i to w okresie najcięższej zimy: styczeń, luty) około 100 odczytów z zakresu rolnictwa, sadownictwa, hodowli bydła i trzody chlewnej. Odczytami tymi, prowadzonymi przez doświadczonych fachowców z Wydziału Rolnego PWRN w Rzeszowie, objęto wszystkie powiaty; stały się one dla słuchaczy praktycznym poradnictwem. Uczestnicy tychże imprez mieli zwykle tak dużo pytań i prośb, że spotkania z prelegentami przeciągały się prawie zawsze do późnej nocy. I trzeba tu podkreślić bardzo dużą ofiarność naszych inżynierów-rolników i hodowców, których nie zrażały zawieje, zaspę, powroty nad ranem z ośległych miejscowości.

Omawiany sezon przyniósł również czytelnikom wiele spotkań z autorami i naukowcami. Między innymi odwiedzili Rzeszowszczyznę Alina i Czesław Centkiewiczowie, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, Stanisław Wygodzki, Jan Spiewak. Spotkania z autorami są piękną i pożyteczną formą upowszechnienia książki i wiedzy, a w województwie rzeszowskim pisarze mają zawsze wdzięcznych słuchaczy, zwłaszcza jeśli spotkanie nie odbywa się w... Rzeszowie. Rzeszowska powiatowa i gromadzka Polska jest o wiele wdzięczniejszym polem do działania niż sama „metropolia”. Na każde niemal spotkanie i odczyt organizowane na prowincji przychodzi przeciętnie setka ludzi, tymczasem metropolia nie przejawia takich skłonności. Bez przesady można rzucić twierdzenie, że Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie w tej dziedzinie swej działalności na terenie miasta Rzeszowa jest osamotniona. W Rzeszowie na spotkania przeciętnie przychodzi około 50 osób. Są to czytelnicy pracujący w różnych zawodach oprócz dziennikarsko-literackiego, naukowo-pedagogicznego i kulturalno-oświatowego. Oczywiście nie mamy też na spotkaniach reprezentantów wielu innych zawodów, ale najbardziej rzuca się w oczy brak wyżej wymienionych. Charakterystyczne, że przebywający na terenie Rzeszowa pisarz nie przedstawia również obiektu

### Rozmowy o projekcie Kodeksu Karnego (3)

## Mówi adwokat Jerzy Szwarz

— Czy nie uważa pan mecenasa, że instytucja nadzwyczajnego złagodzenia kar w redakcji projektu spowoduje „przeciąganie się” spraw w różnych instancjach sądowych?

— Nie wydaje mi się, aby w każdym wypadku można było występować o nadzwyczajne złagodzenie kary. Projekt konkretyzuje wypadki, w których to jest możliwe. Trzeba stać na gruncie realnej oceny możliwości. „Przeciąganie sprawy” nie będzie chyba częstsze niż obecnie.

— Jakie jest zdanie adwokata-praktyka, jeżeli chodzi o zakres czynów karalnych objętych projektem i ich penalizację?

— To sprawa bardzo szeroka, może zwrócić uwagę tylko na niektóre aspekty. Mam zastrzeżenia do tych wypadków, gdzie podniesiono dolną granicę kary. Np. przy zagarnięciu mienia społecznego z 6-miesięcznego pozbawienia wolności do 1 roku. Wprawdzie — gdy chodzi o niewielką wartość tego mienia — istnieje możliwość nadzwyczajnego złagodzenia kary, jednak co znaczy „niewielka wartość” — tego projekt nie konkretyzuje. Dolną granicę kary sąd i tak rzadko stosował. Czyżby autorzy projektu przejawiali brak zaufania do społecznego w tym przedmiocie wycucia sądów? Podobnie jeżeli chodzi o uszkodzenie ciała, gdzie dolną granicę zmieniono analogicznie. Ale są i słuszne wypadki rozszerzenia zakresu penalizacji. Zwiększa w niektórych wypadkach przestępstw z winy nieumyślnej, które nie były dotychczas objęte w takich rozmiarach przepisami karnymi. Taką tendencją — w ramach wzmocnienia więzi społecznej — uważam za słuszną.

— Doszliśmy do ciekawej sprawy. Czy projekt poza tym przewiduje jakieś zmiany w niektórych kryteriach oceny przestępstwa?

— Owszem. Art. 22 tzw. ustawy antyalkoholowej przewiduje: „Stan nietrzeźwości w chwili popełnienia przestępstwa stanowi okoliczność obciążającą”. Zaostrza to więc karę generalnie, w każdym wypadku. Obecnie art. 59 p. 7 projektu stwierdza, że okoliczności obciążające zachodzą w szczególności, gdy sprawca „popełnił przestępstwo w stanie nietrzeźwości mimo, że ciążył na nim szczególny obowiązek zachowania trzeźwości”. Projekt słusznie więc ogranicza zakres okoliczności obciążających. Jest to szczególnie ważne, gdy chodzi o młodocianych, którzy — nie znając dobrze następstw używania lub nadużywania alkoholu — mogliby ponieść niesłusznie ostre konsekwencje. Warto przypomnieć, że przed wojną w praktyce nietrzeźwość była oko-

licznością łagodzącą, jeśli chodzi o ocenę świadomości sprawcy. Od szeregu lat zaś całkiem odwrotnie — obciążającą. Projekt po dwóch „przebiegach” wraca do równowagi.

— Jest taka stara, jeszcze z prawa rzymskiego zasada, że nikt nie może tłumaczyć się nieznaną sobie prawą. Osobiście nie uważam, aby ta zasada była zawsze słuszna, chociaż dla wymiaru sprawiedliwości ułatwia ona wyrokowanie.

— Na ogół każdy człowiek wie, co jest społecznie szkodliwe. Ale przecież są wypadki, że poziom umysłowy sprawcy przestępstwa jest tak niski, iż nie mógł on uświadomić sobie z góry, że popełnia przestępstwo. Według obecnego projektu może on nawet pretendować nie tylko do nadzwyczajnego złagodzenia kary, ale nawet do uniewinnienia. Czytamy tam bowiem: „Nieświadomość bezpamiętności czynu nie wyłącza odpowiedzialności karnej, chyba, że sprawca nie mógł uświadomić sobie nawet tego, że czyn jest społecznie szkodliwy”.

— Prawdę powiedziawszy, istnieje tyle różnych przepisów, że nawet człowiek wykształcony nie we wszystkim się orientuje.

— Właśnie. Oto typowy przykład. Gdyby pan redaktor chciał kupić świnie wagi do 86 kg i dać ją do uboju w rzeźni — czy miałby pan poczucie popełnienia przestępstwa?

— Nie.

— No, a według zarządzenia Min. Skupu z 1955 r. nabywanie przez pracowników trzody chlewnej wagi do 86 kg w celu odprzedaży lub na ubój, a nie do dalszego chowu na własny użytek i to co najmniej przez 3 miesiące — jest niedozwolone. A skąd ma wiedzieć o tym mieszcuch pragnący mieć na święta szynkę uwędzoną domowym sposobem? Kto z mieszcuchów czyta przepisy zabraniające tego?

— Proszę o przykład przestępstwa karanego w projekcie, a którego nie przewidywał dotychczasowy kodeks karny.

— Biorąc formalnie, art. 188 projektu jest rozszerzeniem zakresu penalizacji, ale podpisuję się pod nim. Przewiduje on karalność samego porozumienia w sprawie planowanego zabójstwa. Chociaż więc powstanie trudność w rozumieniu „dokonanego porozumienia” — postanowienie to uważam także za wzmocnienie więzi wewnątrzspołecznej. I dalej ten, kto — według projektu — nie doniesie o zabójstwie z winy umyślonej, albo o konkretnym planie zabójstwa, może być ukarany więzieniem do 2 lat lub grzywną. Obecnie istnieje tylko „społeczny obowiązek” doniesienia, ale za

niewykonanie ustawy nie przewiduje żadnej kary.

— Jeżeli już mowa o zabójstwach, to proszę pana mecenasa o zdanie w sprawie tzw. działania w afekcie.

— Afekt to zmniejszenie kontroli umysłu nad działaniem. Z tego względu za zabójstwo w afekcie grozi dotąd kara od 6 miesięcy więzienia do 10 lat. Art. 185 projektu k.k. przyjmuje, że zmniejszenie kary uzasadniony afekt, który został wywołany szczególnymi okolicznościami usprawiedliwiającymi powstanie takiego wzruszenia. Jeżeli chodzi o pozycje obrońcy, byłoby może lepiej nie precyzować, co uznaje się za „szczególne okoliczności”. Ale ze względu na jednolitość orzecznictwa — trzeba, bo to daje zbyt dużą dowolność. Np. zaszłość wobec osoby pięci odmiennej przez jakiś czas uważano u nas za niską pobudkę. Istotnie — nie należy ona do najszlachetniejszych, ale to przecież sprawa ludzka, życiowa, zwłaszcza w układzie mał — żona. Albo syn widzi, że zabito jego ojca i na to reaguje — niewątpliwie działa wtedy w afekcie. A przecież na upartego można to też zakwalifikować jako zemstę.

— Może więc warto przywrócić się jeszcze jednej starej zasadzie, że oskarżony ma prawo kłamać. Jak to jest w projekcie?

— Kłamstwo oskarżonego nie było dotychczas okolicznością obciążającą, chociaż jako tzw. obrona wykrętna mogła mieć wpływ na wymiar kary. Ale teraz, gdy oskarżony skieruje podjęzżenia na inną osobę, a to okaże się sugestią lub stwierdzeniem fałszywym, powstaje samoistnie przestępstwo, za które grozi kara do 5 lat więzienia, chociaż istnieje możliwość nadzwyczajnego złagodzenia kary. Dotychczas była to wprawdzie naganna, ale dopuszczalna i bezkarna obrona.

— To nasuwa następne pytanie: czy są istotne zmiany w zakresie ochrony czci?

— Tak. W dążeniu do zabezpieczenia wolności krytyki obecnie sprawca zniesławiającej, publicznej wypowiedzi może bronić się nie tylko dowodem prawdy, ale i swoją dobrą wiarą, opartą na uzasadnionym przeświadczeniu, że zarzut jest prawdziwy i że broni społecznie uzasadnionego interesu. W projekcie brak co prawda bliższego sprecyzowania wymogów stawianych owej dobrej wierze, charakterystyczne jednak jest to, że nawet i w takim wypadku nie można obrazać niczyjej godności. Albowiem art. 269 ust. 4 powiada: „Brak przestępstwa nie uchyła odpowiedzialności sprawcy za obrażę, jeżeli wynika to w szczególności z formy podniesienia lub rozgłoszenia zarzutu”.

A w ogóle cały projekt kodeksu, gdy uwzględnimy się w poprawkach słuszne głosy dyskusji, trzeba będzie ocenić pozytywnie, jako odpowiadający zamówieniu i potrzebom społecznym.

(Dokończenie na str. 9)

zainteresowania dla miejscowej gazety, a nawet dla jej kulturalno-oświatowego dodatku. Nikt bowiem nie pokusił się o przeprowadzenie wywiadu, ewentualnie zaproponowanie pisarzowi pewnej współpracy z gazetą. Pisarz przyjeżdżający na kilka dni codziennie chwytą gazetę, by zobaczyć, co o jego pobycie napisano i nie znajduje nic — poza maleńką wzmianką o mającym się odbyć spotkaniu, umieszczoną na prośbę Biblioteki, za którą też, nawiasem mówiąc, Biblioteka ta pokrywa gazecie rachunek w wysokości 250 do 400 złotych polskich (zależnie od ilości słów). W ramach współpracy Biblioteka wynajmuje również salę na spotkania (własnej bowiem nie posiada) w różnych stowarzyszeniach lub instytucjach i często, gęsto, za tę salę musi płacić. Jeśli Biblioteka chce poinformować swych czytelników o mającym się odbyć spotkaniu przez miejscową rozgłośnię radiową — musi płacić (ci mają chociaż umiar, bo żądają niewiele: 150 zł). Aby dopełnić tej listy żalów dodam, że jeszcze wysyła się po kilkadziesiąt imiennych zaproszeń do tych właśnie koneserów kultury i literatury, ale na imprezy przychodzą rzadko, bardzo rzadko.

I pomyśleć, że kiedyś ktoś chciał zorganizować w Rzeszowie Klub Literacki!

Wracam jednak do czytelników, tych zwyczajnych, bez pretensji, natomiast czytających ludzi, dla których

książka stała się nieodłączną towarzyszką życia. Dla nich, obojętne czy mieszkają w mieście, czy też na wsi, biblioteka jest tak samo potrzebna jak ośrodek zdrowia. Czytają, książki krążą z rąk do rąk. W roku 1962 przeczytali prawie 4 i pół miliona książek. Cierpliwie czekają w kolejce na upatrzone tytuły. Czytają to, co jest na półkach, co jest możliwe do otrzymania. I tu nasuwa się odwieczne pytanie: a co takiego czytają? Otóż właśnie, Ci z miasta mają lepszy wybór, nadzieję otrzymania nowości. Tym ze wsi... pozostaje Kraszewski. Czy go pragną? Nie wiem. Jedno jest pewne, że niczego innego nie mają do wyboru. Wielcy, średni i mali publicyści rzucają gromy na wieś, że nie wychodzi poza krąg łatwych klasyków. Oburzają się, że wieś nie chce i nie lubi nowej, nowoczesnej literatury. Czy tak jest naprawdę, proszę publicystów?

Rzeszowskie wydatkowało w r. 1961 najwięcej w Polsce na zakup nowych książek. Prawie 4 miliony złotych. W r. 1962 na zakupy przeznaczono 3 i pół miliona, może to też będzie największa kwota. Wydatkowało tyle na prawie 600 placówek bibliotecznych, a więc każda biblioteka dostała po kilkadziesiąt książek rocznie. Łatwo obliczyć, że na 1 czytelnika wiejskiego wypadło po trzy czwarte (tak! 0,75) nowej książki rocznie.

To jedna strona medalu. Warto także zwrócić uwagę na drugą. Druga —

to nakłady. Jeśli książka ukazuje się w nakładzie 10 tysięcy, a w roku 1963 ma się ukazywać w przeciętnym nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy, z góry wiadomo, że do bibliotek na wsi nie dotrze. Trzeba też pamiętać, że literatura współczesna, najnowsza, ukazuje się w takich właśnie niskich nakładach. A Kraszewski — przeciwnie. Kraszewski w Polsce osiągnął już milionowe ilości egzemplarzy, drukuje się go od bardzo wielu lat, stale, teraz też Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza z Kraszewszczyła Polskę. Wygrzebuje z niepamięci prawie wszystko, co napisał. Posadam już LSW o jakąś obsesję szlachetczyzny, bo proszę: w nowym cyklu powieści historycznych (r. 1962) wychodzą: „Opowiadania z życia Karola Radziwiłła Panie Kochanku”, „Rzecz z podań życia staroszlacheckiego” itd., itd. W lutym 1963 r. ukazuje się powieść „Czasy Kościuszkowskie” w nakładzie ponad 30 000 egzemplarzy. I skarżymy się w Polsce na brak papieru. (Na marginesie tego papierowego kryzysu: m. in. broszura o strażach pożarnych wyszła (w marcu 1963 r.) w nakładzie 6 milionów egzemplarzy!).

Przepraszam, że napisałam tym razem o cieniach na czytelnicy i biblioteczny niebie. Sądję jednak, że zasługują one na bacniejszą uwagę. Słońce nie zawsze przecież świeci.

Ludmila Tokarska





Główna ulica Swidnika

## CZWARTA MŁODOŚĆ ŚWIDNIKA

(Dokończenie ze str. 1)

kowało nie tylko piwa, ale nawet zwykłej wody.

Ale to była jedna strona medalu. Jeżeli inżynier czy majster dbał nie tylko o robotę, ale i o ludzi, jeżeli zdobył sobie autorytet nie tylko wiadomościami fachowymi, ale i jako człowiek, wystarczyło o północy krzyknąć „Chłopaki — do rana trzeba tę robotę skończyć”. Największe zabijaki, chociaż jeszcze szumiało im w głowach, pędem biegli na rusztowania czy do wykopów i nie schodzili prędzej, niż po zakończeniu wyznaczonych roboty. A często — gęsto robili coś jeszcze „na dokładkę” czy z rozpędu. Mimo więc wszystko rosły szybko i mury fabryki i mury osiedla.

Gdy dzisiaj usłyszycie z nieba charakterystyczny terkot silnika i ujrzycie nieco dziwną sylwetkę latającej maszyny — wiedźcie, że to helikopter ze swidnickiej WSK. Wożą pasażerów, chorych, rozsiadają chemikalia na zarażone lasy i pola. Latają nad Polską i wielu innymi krajami. Ponad 100 tys. motocykli ze Swidnika jeździ po drogach nie tylko naszego kraju, ale i trzech pozaeuropejskich kontynentów. Pokazywano mi niedawno fotografie pięknych mieszkańek Ghany zdobywających prawo jazdy właśnie na swidnickich motocyklach, specjalnie przystosowanych do tropikalnych upałów i pustynnych piasków.

Pokażna część ludzi budujących fabrykę i osiedle przeszła na stałe do pracy w fabryce. Tam zdobywali kwalifikacje zawodowe, a jednocześnie otrzymywali mieszkania w osiedlu, nie bez trudu ucząc się korzystania z bieżącej wody, centralnego ogrzewania, czy łazienki. To był olbrzymi skok w przyszłość. Trzeba jednak powiedzieć prawdę, że część mieszkaniowa Swidnika od samego początku była dzieckiem niedorozwiniętym. Mieszkania były obszerne, w pełni wyposażone. Ale już założenie urbanistyczne zaciążyło nad przyszłym rozwojem miasta. Naówczas nazywało się to „osiedlem robotniczym”. Rozumiano je jako miejsce, w którym można się przespaciać, ale to chyba wszystko. Powstawały więc kolejno tzw. ćwiartki, czyli czwarte części wyznaczonego na mapie osiedla. W dwóch pierwszych prawie nie było sklepów, uliczki biegly prosto, ale wąskie jezdnie uniemożliwiały minięcie się dwóch samochodów. Mówiono wiele o kulturze, ale nie bez kilkuletniej walki udało się wreszcie zamienić jeden parterowy barak na coś, co do dzisiaj zbyt szumnie nazywa się zakładowym domem kultury. Mikroskopijska scenka i niewiele większa widownia, na której co pewien czas zapada się spróchniała podłoga,

uniemożliwiają do dzisiaj sprowadzenie chociażby najskromniejszego spektaklu teatralnego. A miasto ma już kilkanaście tysięcy mieszkańców. Inny barak przekształcono na kino — gdzie co tydzień najwyższe tysiąc ludzi może obejrzeć filmy, które przed wielu tygodniami zeszyły z ekranów Lublina. Przez wiele lat otwarcie kawiarni uważano niemal za szaleńczy pomysł, którego realizacja spowoduje niechybnie obniżenie produkcji w fabryce.

I tak oto narodziło się miasto, które w pewnym sensie było i jest do dzisiaj miastem-inwalidą, nie zaspokajające w niektórych dziedzinach nawet podstawowych potrzeb socjalno-bytowych swoich mieszkańców, a w dziedzinie kultury dające tylko namiastkę tego, co ci mieszkańcy potrzebują.

W tej skomplikowanej i trudnej sytuacji osiedla-miasta nastąpił pod koniec styczenia przyjazd komisji partyjno-rządowej, której przewodniczył wicepremier Nowak. Po zbadaniu sytuacji na miejscu, jak również długich naradach w wojewódzkim Lublinie, zapadły decyzje, które dla Swidnika są jakby czwartą młodością. Przede wszystkim postanowiono znacznie zwiększyć budownictwo mieszkaniowe, bo przecież do dzisiaj ok. 500 rodzin mieszka w starych, rozlatujących się już barakach. Odpowiednie kredyty zostały już przyznane, architektki i budowniczowie biorą się do realizacji pierwszych fragmentów wielkiego planu.

Autorem planu zagospodarowania przestrzennego jest młody inżynier lubelski, autor podobnego planu dla rozbudowujących się w związku z budową wielkiej fabryki azotowej Puław — mgr inż. Janusz Gagala z Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej. Nową część Swidnika uzupełniająca cztery pierwsze „ćwiartki”, nazwano roboczo „piątą ćwiartką”. Przy zatwierdzeniu planu było z tego powodu trochę plotek, że warto jechać do Swidnika, bo tam rzekomo „litr ma pięć ćwiartek”. Ale to była tylko żartobliwa insynuacja, bo czasy „swidnickiego Meksyku” należą już do niepowtarzalnej przeszłości.

Ow plan przewiduje przede wszystkim przekształcenie miasta-osiedla w całkowicie samodzielne miasto, które w perspektywie osiągnie nawet 50 tysięcy mieszkańców, co oznacza czterokrotny w porównaniu ze stanem obecnym wzrost. Zamiast wąskiej, krętej szosy, łączącej je z Lublinem, pobiegą dwie szerokie trasy. Dotychczasowy plan mieszkaniowy na okres do końca pięćdziesiątki został zwiększony o tysiąc izb, co pozwoli na ostateczne zlikwidowanie znacznej części dotychczas jeszcze istniejących baraków.

Skończą się także, pojedyncze wciąż jeszcze ze względu na odległość i trudności komunikacyjne wypadły do lubelskiego teatru czy „prawdziwego” kina. Jest już gotowa dokumentacja na wielki, z prawdziwego zdarzenia dom kultury. Będzie kosztował ok. 12 mln zł. Nareszcie będzie mógł tu zjawiać się systematycznie teatr, nareszcie wyświetlane tu filmy nie będą przypominały raczej iluzjonu. Obok nowej szkoły podstawowej stanie gmach dla technikum zawodowego, dostarczającego fachowców fabryce. Dla młodszego pokolenia w przyszłym roku zacznie się budowę 2 żłobków i 2 przedszkoli. Będzie wreszcie pracował dobrze wyposażony, obszerny ośrodek zdrowia...

Dużo można by jeszcze pisać o planie, który wraz z wiosennym słońcem zaczął już przybierać realne kształty. Nie chodzi tu jednak ani o statystykę nowych obiektów, ani o podsumowanie milionów złotych, które państwo przeznacza dla Swidnika, jego teraźniejszych i przyszłych mieszkańców. Istotą jest to, że osiedle-inwalida zaczyna już przekształcać się w normalne, pulsujące pełnią własnego życia miasto. Ze oto jeszcze jeden dowód, iż szybko nadrabiamy powstałe w ciągu wielu lat zaległości. Ze pamiętamy nie tylko o produkcji fabryki, ale o różnorodnych potrzebach ludzi w tej fabryce pracujących. I nie tylko w tej — bo projektuje się także budowę wprowadzić znacznie mniejszych, ale niezależnych od WSK fabryk.

W pierwszomajowych pochodach na ulicach Lublina nigdy nie zabrakło ludzi ze Swidnika. Różnie bywało: szli z makiętą helikoptera i bez, przepasani wstęgami przodowników pracy i udekorowani kolorowymi wstążeczkami państwowych odznaczeń, młodzieńcy i ludzie z siwymi głowami. Sumowali swoje osiągnięcia, szczylicili się coraz bardziej sprawną fabryką, jechali coraz liczniej na wyprodukowanych przez siebie motocyklach, co wymownie świadczyło o wysokich zarobkach, o nowym, jakże lepszym od dawnego życiu. Latali nad trybunami na helikopterach, samolotach i szybowcach własnego aeroklubu. Ale gdyby dobrze poszukać w ich sercach, znalazłoby się zapewne kolce żalu, że jednak o czymś zapomniano, że nie dane im było korzystać ze wszystkiego, co powinno było przynieść nowe życie.

Nie wiem, co poniosą w tegorocznym pochodzie pierwszomajowym mieszkańcy Swidnika. Ale po wielu rozmowach na miejscu wiem na pewno, że w żadnym sercu nie będzie już ani jednego kolca. Widzą przecież na własne oczy, jak realizuje się nowe jutro ich miasta. Jutro ludzi, którzy w niemym trudzie zbudowali fabrykę i przyległe do niej miasto, rozwijają je swoją pracą, inicjatywą i entuzjazmem.

Jerzy Dostatni

## CHŁOPCY Z GANGU

HANNA MUSZYŃSKA-HOFFMANNOWA

**S**IEDZIELI na ławce w parku, bimbali nogami i pletli co ślizgała się na język przyniesie. Najstarsze spory już wyrostek — dobiegał chyba lat szesnastu, najmłodszy — dziesięciolatek — nie liczył się zupełnie w tym gronie. Siedział cichutko spoglądając na dryblasła niby jamańczyka na księżyc.

Szesnastolatek strzyknął śliną przez szczerbę w zębach i mrucnął z lekceważeniem:

— Agata Christe? — Też! Zdziceniła staruszka — pisze bajki na dobranoc dla grzecznych dzieci.

— Widziałem fotografię tej facetki w „Świecie” — wtrącił się czterastoletni chłopak o kręconej czuprynie. — Tam „pisali”, że ona jest najpopularniejszą autorką powieści kryminalnych w literaturze europejskiej, bo...

— Nie dokończył, bo dryblas zmiażdżył go wzrokiem.

— Mowa-trawa. Pewnie ta fotka, na której Agata dźwiga pod pachą czarnego pudła. Horacy mu na imię. Literacki pies — żeał! babulce maszynopis najnowszej powieści. Ze też wam czasu nie szkoda na czytanie takich bajd. Chłopaki, a ja byłem na filmie, że tylko wyć z zachwytu. Francuskiej produkcji „Riffifi”.

— To z tego filmu ta fajna piosenka? — zainteresowali się pozostali.

— No! Słowo „no” wyrażało całą gamę uczuć, które rozpięły pierś dragala. Zachwył, uwieblenie, wyższość nad młodszymi towarzyszami.

— Piętnaście razy byłem na tym filmie — zakończył opowiadanie trzeci. — Żebym tak miał, jak nie mam tylko odrobiny dobrej chęci, mogliśmy odwalić takie Riffifi w Białymstoku, że kłękajcie narody...

— Ba? Robota w brylantach?

— Głupiś jak but. A kioski żywnościowe nie laska? W Riffifi było tak...

— Nie — zabrał niespodziewanie głos sympatycznie wyglądający czterastoletni. Wyróżniał się z grona kolegów nie tylko miłymi, prawidłowymi rysami, ale i starannie utrzymaną odzieżą. Buty jego lśniły, spodnie od mundurka układały się w sztywny prawidłowy kant, przy czystej błękitnej koszuli nie brakowało ani jednego guzika. Blond czupryna, układająca się w ładne fale, zdradzała codzienny kontakt z szczytką i grzebieniem. — Nie — powtórzył przyjemny blondynek — nie wolno małpować bezmyślnie obcych wzorów. Co innego Paryż — Sekwana, co innego Białystok ze swą smrodliwą Białką. Trzeba zorganizować całą „drakę” tak. — Tu zniżył jeszcze bardziej głos. Wszystkie głowy schyliły się ku falistej czuprynie. Słuchali z uwagą, z przejęciem. Nawet ten najstarszy. Nawet ten dryblas.

**L**UTEK znowu całe popołudnie spędził poza domem — skarżyła się pani inżynierowa S. wieczorem mężowi. Rozmawiała z wychowawcą. Twierdził, że Lutek w ostatnim kwartale opuścił się w nauce. Zwłaszcza jego matematyka kuleje. Profesor Twardzik mówi, że jeśli zamierzamy chłopca kierować do technikum, musi bardziej przysiedzieć fałd. Profesor powiedział...

— Lutek! — zagrzmał po jowiszowsku inżynier Lucjan S. — Ładnych rzeczy dowiaduję się o tobie. Chodź no tu na sprawę.

Inżynier Lucjan S. szczylicł się wśród przyjaciół tym, że głęboka miłość do syna-jedynaka nie zamięwiała nigdy jego zdrowego rozsądku. Trzymał chłopaka krótko — „na wędzidle przy psuku jak młodego żrebaka”. Takimi słowami określał swe metody pedagogiczne... Oczywiście — kulturalnie i współcześnie. Nie za pomocą kar — bicia czy pozbawiania posiłków. „Różdżka duch święty dziaćki bić każe” — dobre to dla Jachowicza i całego wieku dziewiętnastego — pokpiwał przy każdej okazji. Ja jestem człowiek współczesny, człowiek drugiej połowy dwudziestego wieku. Jestem nie tylko

(Dokończenie na str. 8)



**N**IEPODAL tej drogi zginął ogólnomistrz Kalen po ucieczce z egzekucji dokonanej przez bandę UPA na garstce wziętych do niewoli żołnierzy Wojska Polskiego. To przez te pokryte jeszcze śniegiem wąwozy uciekał spod katowskiego topora strzelec Gąsienica (z „Lun w Bieszczadach” Jana Gerharda). Człowiek, który uratował się w podobnych okolicznościach, rozstrzelany w bieszczadzkich lasach, żyje do dziś. W grupie operacyjnej był najmłodszy, niewiele ponad szesnaście lat. Niedawno dostał broń. Doświadczenia bojowego miał nabrać w czasie akcji. To była jedna z pierwszych jego wypraw.

Zaskoczono ich błyskawicznie. Banda działała w terenie, gdzie znany jej był każdy kąt. Oficera zastrzelono na miejscu. Nie zdążył się z niego munduru. Tak znalazła go grupa pościgowa wojska, milicji, Urzędu Bezpieczeństwa. Zakrwawioną bluzę zdłano zdjąć tylko z jednego ramienia.

Pozostałych popędzono w głębokie lasy. Pościg niestety nie doszedł. Parodia sądu trwała krótko. Mieli być rozstrzelani natychmiast. Zapędzono ich na polanę, dano do ręki łopaty.

W czasie salwy egzekucyjnej upadł wraz z innymi.

Ogluszony, zaskoczony, ze zranionym ramieniem, ale żywy.

Całą siłą swych młodych lat, gorączkowo, rozpaczliwie szukał w myśli ratunku. Tu nie było szans, bandyci stali tuż nad dołem, rozmawiali, palili papierosy. Każde drgnięcie mogło spowodować jeszcze jedną serię. Tu nie było szans, a przecież... chłopiec z rozpaczą i determinacją sprężył się, skurczył i skoczył... w sam środek, między uzbrojonych ludzi.

Zdębieli. Powstało zamieszanie. Kiedy jeden z nich złożył się do strzału, kiedy po lesie zaczęły ponownie huścić serie automatów, chłopiec odsadził się od nich o kilkadziesiąt metrów.

Pędził, kluczył przez największe gąszcze, rwał głębokimi jarami. Zmylił prześladawców.

W nocy dotarł do Sanoka. Skrwawiony, w strzępach bielizny, bez możliwości powiedzenia jednego słowa...

Opatrzono mu rany, powoli, cierpliwie wyprowadzono z szoku. Kiedy poczuł się nieco lepiej, posadzono go na konia. Poprowadził oddział na miejsce kaźni. Rozstrzelanym urządzono wojskowy pogrzeb.

Jest w tych górach coś szczególniego. Znam żołnierzy, którzy przez trzy lata uganiali się po najdzikszych ostepach Chrzczałej, Otrytu, za bandami Hrynia, Bira, Stiacha. Gdy po demobilizacji każdy jechał w swoje strony, ci pozostali tu na stałe, założyli rodziny.

Są kierownikami PGR, pracują w kółkach rolniczych, ważą w sklepie mąkę, gospodarują na swoim, przybijają pieczątki na urzędowych dokumentach i wyciągają stuletnie buki na składowiska drewna przy kolejce leśnej.

Z niektórymi spotykam się od czasu do czasu, słucham ich relacji, wspomnień. Czas, jak odległość w strzelaniu, wymaga poprawki. Im dalej od tamtych lat tym bardziej stają się mgliste i zniekształcone kontury tamtych spraw, wydarzeń, sylwetki ludzi, tym uważniej trzeba mierzyć proporcje prawdy i legendy.

Na drodze z Leska do Wetliny spotkacie kilka drewnianych krzyży, pamiątek czyjejs, dla nas już dziś bezimiennej śmierci. Starzy ORM-owcy i milicjanci potrafią je skojarzyć z miejscami potyczek, bifew, zasadzek.

Oto miejsce, gdzie rozbito oddział Wojska Polskiego idący na pomoc posterunkowi MO w Ciśnie. W tym miejscu wymordowano kilkunastu rannych żołnierzy odwożonych do szpitala.

Na pierwszym zakręcie serpentyn opasujących Jabłońską Górę stał obelisk dla uczczenia śmierci jednego z dowódców oddziałów radzieckich walczących na tym terenie.

Jeszcze pięć, jeszcze dziesięć lat i miejsca walki, o których już dziś niewiele osób może coś powiedzieć, zatra się w ludzkiej pamięci. Zostaną zbiorowe mogiły żołnierzy na baligrodzkim cmentarzu, kolumny nazwisk milicjantów i ormowców na tablicach w Lesku, Ustrzykach, Wołkowej.

Obok tych miejsc przejeżdżają, przechodzą co roku tysiące, dziesiątki tysięcy turystów. Na tablicy wojennego cmentarza odczytują domorosłą przeróbkę legionowego wiersza, czasem przystaną w zadumie nad grobami dwudziestoletnich żołnierzy, dwudziestoparoletnich oficerów.

W obrębie kilkadziesiątu kilometrów, wzdłuż głównej stoszczędnie-

sięokilometrowej drogi łączącej zagospodarowane części powiatu leskiego i ustrzyckiego z rejonami niemal bezludnymi, nie ma najmniejszego śladu informacji, napisu, wyjaśnienia, co działo się na tym terenie w latach 1944—48, w trzy lata po zakończeniu II wojny światowej.

dydata na osadnika zjawiającego się w Przydyłum Powiatowej Rady Narodowej lub oddziale Banku Rolnego jest: — A jest tam gdzie w pobliżu szkoła?

Teraz, gdy strzeme zbocza między Berehami Górnymi a Wetliną przecięły łuki świetnej asfaltowej drogi, drogi,

# W Bieszczadach

(1)

To, co dla nas, znających ten teren, może być sprawą jasną, nie jest nią dla ludzi stykających się z Bieszczadami po raz pierwszy. Nie mówię już o turystach zagranicznych, dla których ciągnące się całymi kilometrami pustkowie z ozami kwitnących domow i sielsko dzikich sadów, jest czymś zdumiewającym.

Z braku informacji rodzi się fałszywa legenda, powstają mity, których groteskowość mogłaby być śmieszna, gdyby nie to, że dotyczą one spraw, o których nawet dziś trudno byłoby mówić z uśmiechem...

Czy nie byłoby dobrze, aby tak jak Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, które specjalnymi tablicami informuje turystów o zabytkach przyrody i architektury, upamiętnić miejsca walk i śmierci odpowiednimi napisami o wydarzeniach, jakie miały tu miejsce osiemnaście, dziewiętnaście lat temu?

**B**YC może dlatego, że Bieszczady żyją gorączkowo dniem dzisiejszym, że odrabia się tu intensywnie lata pustki, zastojów, że w wielu dziedzinach widać rzucające się w oczy zmiany, w tym rejonie myśli się bardziej może niż gdziekolwiek indziej o jutrze.

Szereg inwestycji powstaje z perspektywą kilku, a nawet kilkunastu najbliższych lat.

Dla wielu było to budowanie asfaltowych dróg do wsi, w których nie pozostał ani jeden budynek, do terenów, gdzie człowiek był rzadkością, szkół w miejscowościach zamieszkałych przez cztery — pięć rodzin, marnotrawstwo państwowych pieniędzy. Do szkoły w Stuposianach obliczonej na stu co najmniej uczniów (!) na otwarcie roku szkolnego przyszło ich dziewięć, po kilkanaście dzieci zapisano do podobnej szkoły w Wetlinie i Kalnicy.

Ale jednym z pierwszych pytań kan-

dydata na osadnika zjawiającego się w Przydyłum Powiatowej Rady Narodowej lub oddziale Banku Rolnego jest: — A jest tam gdzie w pobliżu szkoła?

Teraz, gdy strzeme zbocza między Berehami Górnymi a Wetliną przecięły łuki świetnej asfaltowej drogi, drogi,

## ADOLF JAKUBOWICZ

Ukończenie tej ogromnej wielomilionowej inwestycji udowodniło ludziom mieszkającym i gospodarującym na tym terenie, którzy nie wierzyli, by można było przezwyciężyć piętrzące się na każdym kroku trudności, że dla tych odciętych od świata terenów idą inne lata.

Pamiętam furmankę wiozącą chleb z Hoczwi do Cisny. Był już zmierzch, wóz wpadł do dołu na drodze. Woźnica z wściekłością okładał na przemian spienione konie. Wracalem właśnie do Leska uczepony na drabince Ursusa. Było wtedy niepisane prawo, że człowieka na drodze nie zostawia się samego. Zaprzęgi więc traktorysta swoje konie mechaniczne do wozu i wyciągnął ładunek na szczyt góry. Stąd już było widać wieś.

To o ten chleb była dziś w Ciśnie piekielna awantura. Grupa robotników z Przedsiębiorstwa Robót Kolejowych wymyślała sklepowej.

Chleb miał być na obiad, ale nie dowieźli — tłumaczyła się roztrzęsiona dziewczyna.

To „nie dowieźli” wyjaśniało wiele. Ludzie do niego zdążyli się już przyzwyczaić. To była „siła wyższa”.

Z pustymi rękami, klnąc, wracali na torowiska.

Tylko traktorzyści nigdy nie mieli problemów z transportem zaopatrzenia.

W Kalnicy (w tamtych czasach dojazd do niej to była cała wyprawa) znany zatrzymał mnie gościnnie na nocleg. Byłem zmęczony, brudny, chętnie skorzystałem z propozycji. W drodze rewanżu poszedłem do mieszczącego się w sąsiednim baraku sklepiku po zakupy. Wielkie słowo „sklepić”! Na półkach konserwy: śledzie w ocie, fladra w pomidorach, „chleb już wyszedł” „mąki nie ma”, „kaszy nie ma”, „cukier będzie jutro”. Pod ścianami w trzech rzędach transportery pełne taniego, owocowego wina. Widomy znak, że zaopatrzenie działa. „Jabok” — przyczyna awantur i bójek wycyfrowany oficjalnie ze sklepików na budowach na skutek interwencji kobiet, docierał do odbiorcy wbrew wszelkim zakazom, mimo największych błot, zawiei, bezdroży. Przyjeżdżał nieocenionym traktorem.

Gdyby handlowcy z Leska, Ustrzyk, Cisny mieli choć trochę zmysłu mojego sklepowego z Kalnicy, nie byłoby kłopotów z dowozem chleba...

Kiedy uruchomiono ciężarowy „Lublin”, który z Leska do Cisny i z powrotem woził pocztę, a przy okazji „lebków”, wydawało się, że cywilizowany świat znów zbliżył się do tego zakątka Bieszczadów o kilkadziesiąt kilometrów.

Nielatwo ocenić znaczenie bieszczadzkiej drogi teraz u progu wiosny 1963 roku. Nielatwo, gdyż pod tą szerokością geograficzną znaczy ona więcej, niż gdziekolwiek indziej.

W 1945 roku było w Bieszczadach zaledwie 24 kilometry dróg ulepszonych. W czternaście lat później już ponad tysiąc kilometrów. W latach 1962—1965 na budowę dróg w tym rejonie przeznaczona jest ponad 350 milionów złotych.

Jest to wysiłek ogromny, imponujący, który warunkuje wszystko, co się w Bieszczadach robi i robić zamierzają.

Na mapach urbanistów widać to może najwyraźniej. Czerwona nitka drogi, obiegająca jak znacznie krwionośny organizm dwu rozległych powiatów, zaczyna wokół siebie grupować różnokolorowe punkty — znaki: domów, szkół, sklepów. Zaczynają się tworzyć pierwsze zagęszczenia tych punktów, dowód, że rodzi się nowa wioska, osiedle robotnicze, lub leśne.

Obok drogi w Kalnicy, Wetlinie, Przysłopiu, Strubowiskach, Dołżycy, w kilkunastu bieszczadzskich wioskach czekają na ludzi wolne, nie zagospodarowane tereny. Czekają ziemia. Najtańsza w kraju ziemia o półtorej godzinny jazdy od powiatowego Leska, trzy godziny od Krosna, cztery i pół od Rzeszowa. Ponad 150 gospodarstw położonych w większości przy świetnych drogach, po których mkną wartburgi i moskwicze ze znakami rejestracyjnymi Szczecina, Warszawy, Opola, czeka...

Rys. Adolf Jakubowicz





(Dokończenie ze str. 5)

najwyższym autorytetem dla mojego syna, ale również jego najlepszym przyjacielem.

Na wezwanie ojca Lutka zjawiał się błyskawicznie w pokoju.

— Słucham tatusia — powiedział układnie. Inżynier S. uśmiechnął się zadowolony. Nie znośił, gdy dorastające dzieci tykały swoich rodziców, czy dziadków. On osobiście nie zniósłby podobnej poufałości ze strony dziecka. Kiedyś jego ojciec nawet jako dorosły i dzieciaty człowiek zwracał się do nestora rodziny: „Niech ojciec będzie łaskaw”. Tak samo musiał mówić i on. Tak samo mówi i będzie mówić Lutek. Tradycja rodzinna — szacunek starszym.

— Gdzie wałęsałeś się po obiedzie? I z kim? — zagrzmiął znów Jowisz domu.

— Ja, proszę tatusia — głos Lutka tchnął uciśnioną niewinnością. — Ja spacerowałem z kolegami trochę po plantach. Nie wiem dlaczego, ciągle ostatnio jakos boli mnie głowa.

— Znam tych kolegów? — indagował dalej ojciec.

— Oczywiście, proszę tatusia. O ile się nie mylę, z ojcem Bączkowskiego jest tatuś w Kole Myśliwskim, a znów z ojcem Michałaka tatuś grywał w brydża w Klubie Handlowców.

— Owszem — rozpogodził się już całkowicie inżynier S. Znam tych obydwoh panów. Obaj rzetelni, na stanowiskach, dobrze wychowują swe dzieci. Możesz się z nimi przyjaźnić. A z lekcjami jak?

Lutec pozwolił sobie na porozumiewawczy uśmiech. Ojciec odwzajemnił się filuternym zmrużeniem oka. — Czekam, synu.

— Więc właśnie, proszę tatusia. Przez ten piekielny ból głowy jakos chemia szła mi jak po grudzie. Więc pomyślałem sobie — jeśli tatuś zechce, jeśli tatuś będzie tak dobry...

— Przychodź z podręcznikami do gabinetu — uciął krótko sprawę ojciec. W chwilę później nad białym pochylały się dwie jasne głowy. Falista czupryna junióra i przeświecająca już niestety, zamaskowana „pożyczkami”, lysinaka seniora. Powtórzono wspólnie nie tylko chemię, ale fizykę, matematykę, biologię. Lutec pójdzie następnego dnia „obkuty” na sto dwa.

Przy kolacji panowała wesoła, nieprzymuszona atmosfera. Gdy Lutek zniknął w łazience, inżynier w sposób delikatny, ale nie mniej stanowczy, zwrócił uwagę małżonce:

— Chłopiec przechodzi tak zwany trudny okres. Lekarze również zwracają na ten wiek specjalną uwagę. Wyrósł ogromnie od lata. Prawdziwy z niego już mężczyzna. Trzeba mu okazywać więcej zaufania, więcej serdeczności. I szacunku, tak jest, moja kochana, i szacunku. Jeśli wiem z kim przebywa, pozwólmy mu mieć jego młodzieńcze tajemnice. Może z Bączkowskim i Michałakiem czekał w parku, aż przejdą znajome uczennice? Pamiętaj, ja przecież także zakochałem się w tobie na wiosnę, pachniały bzy, jaśminy, a byłem bodaj starszy od Lutka tylko o lat dwa. Dzisiejsze pokolenie młodzieży dojrzewa prędzej. Wiek atomu. A matematyk niech nie będzie Kasandrą. Zdolności właściwe objawiają się dopiero u naprawdę dorosłego człowieka. W szkole średniej, moja droga, byłem za ledwie przeciętnym uczniem, a politechnika szła mi ho, ho — jak z płatka!

Następnego ranka Lutec z odpowiedzi ustnej przy tablicy otrzymał od bardzo wymagającego matematyka czwórke z plusem.

— Podziękuj ojcu — powiedziała uroczyście inżynierowa.

Tego samego dnia wieczorem Lutka zabolala znów głowa. Sama matka, pomna niedawnej rozmowy z mężem, zachęciła syna do małej przechadzki. Spacer wprawdzie przedłużał się, ale jakże gniewała się na chłopaka, który zdobył dobry stopień z matematyki. Odtąd stopnie w szkole miał coraz lepsze. Ale i bóle głowy, nieomal migreny, powtarzały się systematycznie. Rodzice zastanawiali się, czy nie zasięgnąć porady lekarza...

— Czujka na miejsce!  
— Rozkaz, szefie.

— No, tylko mi popisz się tak, jak ostatnim razem — surowo zauważył wódz. — Będziesz się mazał, pójdziesz precz z gangu. Nie potrzebujemy mazałów. Zrozumiano?

— Tak jest, szefie — żałośnie jęknął malec.

— Kłosc „obrobiony”? — pytał dalej szef.

— Według rozkazu — wyprzeźlił się służbiście dryblas. — Podrywałem babkę całą godzinę, aż mi się mdło robiło, bo pudło stare jak nieszczęście.

— Błaska tkwi?

— Mowa, szefie! Jak złoto. Pójdzie w górę żaluzja, że i mrugać szkoda...

— Po robocie — ciągnął „szef” — jak zwykle bez paniki. Każdy idzie spokojnie, wyznaczoną trasą. Żadnych błędów, żadnych galopad. Spotykamy się w Sezamie. To wszystko. Koniec odprawy. Teraz do pracy.

Fioletowo-popielaty zmierzch otulał planty, gdy Lutec dotarł wreszcie wolnym spacerkiem do pierwszych drzew Zwierzyńca. Pod pachą dzwigał dwie puszki z bułgarskimi konserwami. Osobiście Lutec nie znośił konserwowego mięsa. W domu nie tknąłby takiej kolacji czy obiadu — matka wiedziała o tym doskonale i konserwy nigdy nie figurowały w domowym „menu” inżynierostwa S. Ale te dwie puszki przedstawiały zupełnie inną wartość dla Lutka. One były czymś więcej niż nielubianą potrawą, one były „dupem”.

— Przestała cię boleć głowa, synu? — dopytywała się troskliwie na dobranoc matka.

— Jak ręką odjął, mamgo.

— Co jednak znaczy świeże powietrze, no i młodość — westchnęła tak sobie inżynierowa.

**R**OZPRAWA miała się ku końcowi. Tajemnica okradanych kiosków Powszechnej Spółdzielni Spożywców przestała być wreszcie tajemnicą. Przed sędzią przedfilowała już cała paczka nieletnich oskarżonych. Były i płacze — tego najmłodszego malca w szczególności. Była i samokrytyka i było uparte zacięcie milczenia... Kto miał złożyć zeznanie — już złożył. Sprawa była jasna, dążyła do finału. Wkrótce miał być ogłoszony wyrok. Na sali dolo się odczuwać lekkie odprężenie. Trudno, co się stało — już się nie odstanie. Winni poniosą karę, później wrócą do normalnego toku życia. Na pierwszej ławce za barierą, tą dla publiczności, siedział inżynier Lucjan S. z małżonką. Pani raz po raz wycierała chusteczką zaczerwienione oczy. Pan tkwił na kształt posągu. Niemy na chlipanie żony, wpatrywał się bez przerwy w jedno miejsce na ławie oskarżonych. Tam właśnie znajdował się w nienagannie wyczyszczonym i wyprasowanym mundurku chłopiec o falującej blond czuprynie. On jednak widział w nim potwora. Potwora, który zhańbił jego nieskazitelną nazwisko. Pani inżynierowa, wciąż manipulując chusteczką przy oczach, próbowała wtącić, że ostatnie oceny szkolne... Inżynier nie słuchał. Patrzył wciąż jak urzeczoncy. Jego syn — jego chluba i duma — szefem gangu. Po to uczył syna rysunku geometrycznego, po to ofiarował mu na ostatnią Gwiazdkę kosztowny komplet cyrkli, by Lutec wykorzystywał zarówno umiejętności, jak i podarek ojcowski na rysowanie planów „włamań”. Na Boga, czy on śni? I kiedy się ocknie z tego koszmarnego snu?

Później pani sędzina rozmawiała ze wszystkimi rodzicami. Inżynierowi Lucjanowi S. poświęciła może najwięcej czasu. Przed laty chodziłi nawet razem do szkoły podstawowej, łączyła ich przyjaźń „sztubacka”. Zaczęła od tych właśnie wspomnień. Podkreśliła z naciskiem, że Lutkiem trzeba się będzie specjalnie zająć. Teraz gdy wyrokiem sądu otrzymał dwa lata zakładu poprawczego z zawieszeniem... Inżynier S. dalej drapał się w togi a la Katon Starszy. Nie słuchając zupełnie wywodów sędziny, nagle wybuchnął jak bomba:

— Nie ma miejsca w moim domu dla tak zwyrodniałego wyrostka. Niech pójdzie do „poprawczaka”.

Pani sędzina wyjęła z torebki puderniczkę i parę razy przesunęła puszką po nosie. Widocznie był to patentowany sposób na opanowanie, bo zagadnęła rozwścieczonego inżyniera zupełnie spokojnie:

— A pamiętasz, Lucku, jak ty i ja i w ogóle cała nasza paczka pasjonowała się tłuczeniem lamp na stacji i zwrotnicach kolejowych? Zdaje się, że to właśnie ciebie przychwycił strażnik kolejowy za kołnierzą i przystaszczył na „sprawę” do rodziców? Staruszkowie lamali ręce, rozpaczali, co z tych lobuziaków wyrośnie. Ano przyszłość pokazała, że nie specjalnie zlego. Ty jesteś zasłużonym specem w swym zawodzie, otrzymujesz premie od ministra swego resortu. Ja zaś pochlebiam sobie, wcale znów nie najgorszym sędzią dla nieletnich. A byli z nas „złótko”, co się zowie, bądźmy szczerzy, nikł nas nie słyszy. Nie, Lucjanie, jesteś w błędzie. Nie trzeba pobłażać, ale również nie należy wyolbrzymiać całego wyrokoczenia. Wybrki młodości na szczęście pozostają jedynie w większości wypadków wybrkami młodości. Jestem pewna — a mówię na podstawie moich doświadczeń — że z Lutka wyrośnie zupełnie porządne „homo”.

Tylko — ty ojciec — musisz mu poświęcić więcej czasu...

Inżynier nie chciał się rozstać z togi Rzymianina. — Ja? Przy mojej odpowiedzialnej pracy zawodowej, przy moim stanowisku, przy mojej pracy społecznej? Tą pracą społeczną zwłaszcza wymachiwał jak tarczą. Pani sędzina westchnęła i po raz wtóry sięgnęła po puderniczkę.

— Zobacz go pani — w sali podczas obiadu. Ale musi go pani rozpoznać sama. — Idźmy. W sali gwar niby w ulu. Dyżurni w białych fartuchach podają zupe. Chłopcy wyprężeni na baczność stoją przy swoich krzesłach. Dopiero na kamendę wychowawcy: „Siadać!! Smacznego” — rozpoczyna jedzenie. Tak, reżim w zakładzie goniądzkim panuje wojskowy. Ciekawe jak mu się porządkował jedynak inżyniera S. wychowany w dostatnym domu, pieśczoney przez matkę. — Jakoś przyzwyczaił się — mówi kierownik. — Zresztą z Lutkiem nie mam już właściwie żadnych kłopotów. Celuje w nauce i... o ile się orientuje, podbił aż trzy serduszka dziewczęce uczennice goniądzkiego liceum.

Wodzę wzrokiem po sali. Nie widziałam nigdy Lutka, opowiadano mi tylko o nim. Tyle, tyle młodzieńczej twarzy! Są wśród wychowanków typy prawdziwych cwaniaków, którzy, wiadomo, z niejednego pieca chleb jedli. Są i ponure oblicza typowych debili. Ale istnieje też i to spora garstka chłopców o bystrych, inteligentnych oczach, o miłym zachowaniu i przyjemnym wyglądzie. Wśród nich na pewno znajduje się i były szef byłego gangu konserwowego.

A ojciec Lutka, czy w dalszym ciągu nie chce słyszeć o synu? — Ach ci „społeczny” — uśmiecha się z pobłażaniem kierownik. — To plaga dla nas, wychowawców. Czy pani wie, że onegdaj zjawila się u nas pani na wysokim stanowisku z propozycją umieszczenia tu swojego syna, bo „to bardzo trudne dziecko”. Nie sposób było tej matce wytłumaczyć, że w zakładzie przebywają tylko dzieci po wyroku sądowym. — A „ostatni Rzymianin” — inżynier S.? — dopytuje się już natarczywie. — Inżynier S. zrezygnował już z rzymskiej togi. W ogóle zrozumiał przez ten okres pobytu Lutka u nas bardzo wiele, może nawet więcej, niż jego syn. Smiem nawet twierdzić, że prawdziwa przyjaźń: ojciec — syn, o której zawsze marzył inżynier S., zapoczątkowała się właśnie tu, podczas przyjazdów w odwiedziny do Goniądza. Zresztą — zdradzę pani małą tajemnicę. Wystosowałem już pismo do sądu dla nieletnich z prośbą o przedterminowe zwolnienie Lutka z Zakładu. Podpisałem to pismo ze względu na wzorowe zachowanie się chłopaka, no i z inicjatywy jego ojca. Zresztą, sama pani stwierdziła mogła, że chłopak wyróżnia się spokojem, grzecznymi manierami, układnością. — Wcale nie rozsyfrowałem, który z nich jest Lutkiem — zaprotestowała gorąco. Przeciwnie, wytykowałam na sali przynajmniej z piętnastu, do których doskonale pasuje rola Lutka.

— Bardzo dobrze — ucieszył się kierownik. — Niech Lutec pozostanie sztyrem nieodgadniętym. Zresztą wraca wkrótce do domu, a o jego przymusowym pobycie w Państwowym Młodzieżowym Zakładzie Wychowawczym w Goniądzu niech pamięta ojciec. Inżynier S.

Hanna Muszyńska-Hoffmannowa

## CHŁOPCY Z GANGU

**D**O Goniądza przyjechałam w mroźne zimowe popołudnie. Niewiele wiedziałam o tym miasteczku, rozłożonym malowniczo nad brzegami Biebrzy. Tyle chyba co wie przeciętny obywatel naszego województwa. A więc, że Goniądz to kolebka słynnego arianina i reformatora Piotra, znanego w historii pod miastem Piotra z Goniądza, i że kiedyś jako miasto Radziwiłłów był nawet stolicą powiatu goniądzkiego. Cóż — rynek — cztery ulice — parę murowanych domków — sic transit... Ale przyjechałam tutaj nie aby tropić wspomnienia zamierzchłej przeszłości, ani żeby podziwiać piękno naprawdę ślicznej rzeki tego popołudnia, skutej błękitnym lodem. Dlatego zatrzymuję wychodzącą ze sklepu kobietę i zadaję pytanie: „którą drogą do Państwowego Młodzieżowego Zakładu Wychowawczego?”

Jejmość mierzy mnie ironicznym spojrzeniem i jadowicie syczy: „Pani do tych „złodziejasków”? Może w odwiedziny... do syneczka?”

Kurczę się pod batem tych złośliwości padających z ust nieznajomej, zupełnie jakby rzeczywiście mój potomek znajdował się w zakładzie. Do budynku biejącego u wylotu jednej z uliczek „odrynkowych” jeszcze kilkadziesiąt kroków, a już dochodzę do wniosków, że umieszczenie tego zakładu właśnie w Goniądzu nie należy do szczęśliwych rozwiązań.

W takim maleńkim miasteczku, gdzie każdy przybysz wysiadający z autobusu wzbudza sensację, wychowanek Państwowego Młodzieżowego Zakładu Wychowawczego jest napiętnowany. Gdziekolwiek się zjawia, z pewnością dla większości obywateli będzie „tym” — z poprawczaka. Zdanie moje w całej rozciągłości popiera kierownik zakładu pan Mieczysław Dworakowski.

— Tylko duże miasto — mówi zaraz wstępnie, gdy opowiedziałam mu moje pierwsze wrażenie. — Tylko duże miasto, które zabezpiecza człowieka pewną anonimowość w tłumie. Zresztą Goniądz nie posiada dużej fabryki, gdzie więc mają praktykować wychowankowie zdobywający tu zawód uniwersalnego ślusarza?

Pan Dworakowski prowadzi tę trudną i jedyną zresztą placówkę wychowawczą w województwie białostockim od trzech lat. Dawno nie rozmawiał z nikim z „zewnątrz”, no i ubierał się cały „wór” żalów.

— Proszę pani — mówi z goryczą — przyjeżdża ktoś na godzinną inspekcję

i zachwycić się położeniem zakładu. Śliczny, biały dom — czego chcieć więcej. A właśnie, że można chcieć. Choćby większego metrażu. Zgodna na malowniczość, zgodna na stylowość, ale według przepisów na jednego wychowanka powinny wypadać cztery metry kwadratowe, kiedy my, niestety, dysponujemy tylko dwoma i pół metrami. Biebrza piękna, oczywiście, ale nie zastąpi ani sali gimnastycznej, ani ogrodu przyzakładowego, ani boiska sportowego. Ciasne podwórceczko — to wszystko. Proszę sobie wyobrazić, w takich warunkach przebywają chłopcy, których, co tu dużo gadać — rozpięra fantazja i nadmiar witalności. Tak bym chciał zobaczyć „moich chłopców” w roli ogrodników kopiących grządki, sadzących warzywa kwiaty — et, szkoda marzyć. Nie zastąpi im tych zajęć na powietrzu mała lenka świetlica z pierwszym w mieście telewizorem. Choć właśnie ten telewizor stał się magnesem ściągającym młodzież z miasta w odwiedziny do Zakładu — co więcej — pozwalała powoli, z trudem, ale przecież skutecznie rozładowywać mur niechęci oddzielający naszą młodzież od miejscowego społeczeństwa.

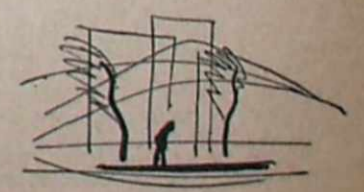
Pytam się o Lutka. — Zobaczy go pani w sali podczas obiadu. Ale musi go pani rozpoznać sama. — Idźmy. W sali gwar niby w ulu. Dyżurni w białych fartuchach podają zupe. Chłopcy wyprężeni na baczność stoją przy swoich krzesłach. Dopiero na kamendę wychowawcy: „Siadać!! Smacznego” — rozpoczyna jedzenie. Tak, reżim w zakładzie goniądzkim panuje wojskowy. Ciekawe jak mu się porządkował jedynak inżyniera S. wychowany w dostatnym domu, pieśczoney przez matkę. — Jakoś przyzwyczaił się — mówi kierownik. — Zresztą z Lutkiem nie mam już właściwie żadnych kłopotów. Celuje w nauce i... o ile się orientuje, podbił aż trzy serduszka dziewczęce uczennice goniądzkiego liceum.

Wodzę wzrokiem po sali. Nie widziałam nigdy Lutka, opowiadano mi tylko o nim. Tyle, tyle młodzieńczej twarzy! Są wśród wychowanków typy prawdziwych cwaniaków, którzy, wiadomo, z niejednego pieca chleb jedli. Są i ponure oblicza typowych debili. Ale istnieje też i to spora garstka chłopców o bystrych, inteligentnych oczach, o miłym zachowaniu i przyjemnym wyglądzie. Wśród nich na pewno znajduje się i były szef byłego gangu konserwowego.

A ojciec Lutka, czy w dalszym ciągu nie chce słyszeć o synu? — Ach ci „społeczny” — uśmiecha się z pobłażaniem kierownik. — To plaga dla nas, wychowawców. Czy pani wie, że onegdaj zjawila się u nas pani na wysokim stanowisku z propozycją umieszczenia tu swojego syna, bo „to bardzo trudne dziecko”. Nie sposób było tej matce wytłumaczyć, że w zakładzie przebywają tylko dzieci po wyroku sądowym. — A „ostatni Rzymianin” — inżynier S.? — dopytuje się już natarczywie. — Inżynier S. zrezygnował już z rzymskiej togi. W ogóle zrozumiał przez ten okres pobytu Lutka u nas bardzo wiele, może nawet więcej, niż jego syn. Smiem nawet twierdzić, że prawdziwa przyjaźń: ojciec — syn, o której zawsze marzył inżynier S., zapoczątkowała się właśnie tu, podczas przyjazdów w odwiedziny do Goniądza. Zresztą — zdradzę pani małą tajemnicę. Wystosowałem już pismo do sądu dla nieletnich z prośbą o przedterminowe zwolnienie Lutka z Zakładu. Podpisałem to pismo ze względu na wzorowe zachowanie się chłopaka, no i z inicjatywy jego ojca. Zresztą, sama pani stwierdziła mogła, że chłopak wyróżnia się spokojem, grzecznymi manierami, układnością. — Wcale nie rozsyfrowałem, który z nich jest Lutkiem — zaprotestowała gorąco. Przeciwnie, wytykowałam na sali przynajmniej z piętnastu, do których doskonale pasuje rola Lutka.

— Bardzo dobrze — ucieszył się kierownik. — Niech Lutec pozostanie sztyrem nieodgadniętym. Zresztą wraca wkrótce do domu, a o jego przymusowym pobycie w Państwowym Młodzieżowym Zakładzie Wychowawczym w Goniądzu niech pamięta ojciec. Inżynier S.

Hanna Muszyńska-Hoffmannowa





# W KRĘGU czytelniczych zainteresowań

JACEK WOJCIECHOWSKI

**Z**DAWAŁOBY się, że dobór lektury jest dla każdego człowieka jego osobistą, prywatną sprawą, która nie powinna nikogo interesować. W pojedynczym wypadku pozornie tak to wygląda, niemniej traktując zagadnienie w skali ogólnospołecznej, jako sumę przypadków jednostkowych, mamy do czynienia z zainteresowaniami czytelniczymi społeczeństwa. Od nich, w poważnej mierze, zależy praca wielu instytucji — bibliotek, księgarń, wydawnictw, one (zainteresowania) kształtują rozwój kultury, toteż rozwój ich jest istotny dla rozwoju życia kulturalnego.

Ludzie czytają to lub tamto, zależnie od własnego wyboru, zachodzi jednak pytanie, czy placówki kulturalne mają prawo ingerować w ten dobór, a jeśli tak, to w imię czego? Otóż wiadomo, że czytelnictwo, zwłaszcza na wsi jest podstawowym przejawem życia kulturalnego, z tego wniosek, iż kształtowanie, tworzenie kultury, to również kształtowanie czytelnictwa. Prócz tego kierunku zainteresowań, zdążające ku lekturze popularno-naukowej, fachowej czy naukowej, służą podnoszeniu kwalifikacji zawodowych, a więc mają znaczenie bezpośrednio dla produkcji. Sprawa nabiera kapitalnej rangi zwłaszcza w rolnictwie, gdzie książka fachowa jest najczęściej jedynym informatorem o właściwych metodach gospodarowania, dlatego nie jest wszystkim jedno, co wypożyczają biblioteki gromadzkie, lub co sprzedaje się w powiatowych „Domach Książki”.

Badania nad czytelnictwem przeprowadzają przeróżne instytucje, przede wszystkim biblioteki rozmaitych szczebli, a w ich wyniku udało się ustalić pewne prawidłowości, występujące na polu zainteresowań czytelniczych. Stwierdzono więc wielkie dysproporcje pomiędzy poziomem lektury na wsi i w mieście — jeden z przejawów zapóźnienia kulturalnego prowincji. Widać to wyraźnie na przykładzie tego, co się na wsi czyta, a może raczej z tego, co właśnie nie jest czytane.

Bez względu na największą popularnością cieszy się tam literatura rozrywkowa. W tych badaniach, które zdołaliśmy przeprowadzić, wypożyczenia tej grupy wahały się od 15% do 40% wszystkich wypożyczeń w ogóle. Rzecz polega nie na tym, aby potępić taką literaturę w ogóle, gdyż sama w sobie nie jest szkodliwa, zjawisko ujemne zaczyna się dopiero wtedy, kiedy czytelnik wyłącznie na niej poprzestaje. Największą wadą tego typu lektury jest brak możliwości przejścia na lekturę poważną, czytelnik zasklepia się w łatwiznie i za nic nie chce wziąć do ręki książki trudniejszej.

Olbrzymią popularnością cieszą się, do dzisiaj, powieści Rodziewiczówny, Aleksandra Dumasa, a także wszystkie, nawet najbardziej lichy „kryminały”. Niepowodzenia przy spotkaniu z ambitniejszą literaturą jeszcze bardziej utwierdzają wielkiego czytelnika w mniemaniu, iż tylko z „kryminałami” potrafi sobie poradzić. I robi to, tym chętniej, że dotychczas tak ilość tytułów, jak i nakłady literatury rozrywkowej były olbrzymie w porównaniu z literaturą wartościową. Normalny nakład jednej książki wynosi w Polsce 10 tysięcy egzemplarzy, przy czym jedynie dobry pisarz może spodziewać się wydania swojego dzieła w pełnym nakładzie, a jest oczywiste, że uchodzące są tylko nakłady wysokie. Tymczasem „kryminały” wydawano w ilościach od 30 tysięcy do 50 tysięcy egzemplarzy, przy czym powieści Agaty Christie rzadziej schodziły poniżej górnej granicy. Co w takim razie przede dotrże na wies, „Pięć małych świnek” (n. 50 tys.), albo zupełnie zmiłowata „Vesta nie zna litości” Kozakiewicza (n. 40 tys.), czy „Los człowieka” Szolochowa (n. 10 tys.)? Ostatnio sytuacja poważnie się zmieniła, zmniejszono liczbę tytułów literatury lekkiej, niemniej na zmianę gustu odbiorców trzeba będzie jeszcze długo czekać. Na wsi o miano najpoczytniejszej książki bynajmniej nie walczą „Spisowa brama”, lecz „Anima vilis”, „Straszny dziaduno” Rodziewiczówny i „Morderstwo na plebanii” Christie.

Konkurować może z nimi tylko jeden pisarz, mianowicie Kraszewski. Trzeba przyznać, że jego olbrzymi dorobek pisarski doczekał się wielkiej popularności, co jednak trudno uznać za zjawisko całkiem pozytywne zwłaszcza, że Kraszewski tworzył sto lat temu. Oczywiście, nie można porównywać Kraszewskiego z Rodziewiczówną, ale pesymistycznie nastraja fakt, że obracamy się w kręgu takich tylko nazwisk.

Co się czyta na wsi poza tym? Pewną popularność zdobyła sobie literatura podróżnicza, widać również zainteresowanie tematyką historyczną, szczególnie chętnie widziane są pozycje związane z ostatnią wojną. Natomiast dość mizernie wygląda pochyłość beletrystyki współczesnej i klasyki powieściowej. Głośno nazwiska zawsze wprowadzają znajdy swoich czytelników, ale przecież tych nazwisk jest niewiele, pozostali autorzy stoją na uboczu. Z pewnością wpływa na to brak właściwej informacji, po prostu czytelnik wiejski nie wie, co kryje się pod obcym dla niego nazwiskiem pisarza i woli nie ryzykować straty czasu, sięga więc po Kraszewskiego, o którym na pewno słyszał. To, że coraz więcej czytelników pyta o Breziewicza, Hemingwaya czy Caldwell, jest zasługą dobrej propagandy, prowadzonej przez biblioteki, radio, prasę, ale jest to popularność nazwisk, a nie literatury współczesnej, dlatego ogranicza się do dzieł tych właśnie pisarzy. Z pewnością trudna forma tej literatury nie jest czynnikiem zachęcającym, wobec prymitywnych umiejętności czytania, wynikających z błędnego ustawienia szkolnego programu. Jeżeli w dodatku treść nie potrafi przełamać „technicznych” trudności, czytelnik na pewno skłoni się ku innej lekturze. Dodajmy, że na przeskodzie popularyzacji dobrej literatury współczesnej stoją zbyt niskie nakłady. Co ma zrobić kierownik „Domu Książki” w mieście powiatowym, otrzymawszy aż... dwa egzemplarze opowiadań Hemingwaya? Biblioteka żąda trzdziestu egzemplarzy tego tytułu, każdy ze stałych klientów błaga i grozi, dwie małe książeczki stają się przyczyną lokalnych waśni. Cóż więc dziwnego, że na wies pozycja taka nigdy nie dotrże. Słynne były poszukiwania w księgarniach powieści Boule „Most na rzece Kwai”, o absurdalnym nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy, toteż nawet niektóre duże biblioteki nie zdołały jej zakupić. Poprzedzona sławą filmu, dużo zresztą słabsza, powieść miała wszelkie dane, aby stać się bestsellerem sezonu. Niestety, wydawcy spóźnili się zbyt późno, wobec tego całą winę zwołano na brak papieru.

W bardzo minimalnym stopniu znajduje czytelników literatura popularno-naukowa. Oczywiście, po poprzednich wyjaśnieniach, nie jest to dla nikogo niespodzianką, gdyż od lektury rozrywkowej do zdobywania wiedzy z podręczników droga jest bardzo daleka. Pomimo wszystko w tej dziedzinie zaobserwować można pewien postęp, będący wynikiem wzmożonej popularyzacji tego rodzaju pozycji. Są to na razie zaczątki, sytuacja jest nadal nie-

(Dokończenie ze str. 5)

— Za jeden z błędów projektu uważa się to, że przy jego opracowywaniu zastosowano technikę kodyfikacyjną którą określa się jako kazuistyczną. Jakie jest na ten temat zdanie pana profesora?

— Osobiście zastosowałbym tzw. technikę syntetyczną. Ale stanowczo upieram się przy tym, że trzeba usprawiedliwić autorów. Decyduje o tym podstawowe pytanie: kto ma w przyszłości posługiwać się Kodeksem

— Wzrosła także technika, poziom dokonywanych przestępstw.

— Niewątpliwie

— A czy zdaniem pana profesora projekt wprowadza nadmierne zaostrożenie kar?

— Tu i ówdzie rzeczywiście daje się to zauważyć, zwłaszcza w formie podwyższenia dolnej granicy zagrożenia karnego. Z drugiej strony temu zjawisku trzeba przeciwstawić daleko idące i szeroko rozbudowane w projekcie prawo sądu do nadzwyczajnego

## Mówi dr Zdzisław Papierkowski profesor KUL

przy wydawaniu wyroków? Otóż nie tylko sędziowie zawodowi, ale potężna armia laików. To właśnie wymagało kazuistyki — większej konkretności i szczegółowych sformułowań. Metoda syntetyczna dla laików mogłaby powodować zbyt wiele trudności, a nieraz omyłek.

— Mówi się i pisze wiele o nadmiernej penalizacji, co byłoby sprzeczne z jedną z podstawowych cech naszego ustroju: wiarą w człowieka, w jego dojrzwianie, w jego wzrost wewnętrzny.

— Trzeba porównywać projekt nie tylko z Kodeksem z r. 1932, bo wtedy wzrost jest rzeczywiście duży. Ale jeżeli weźmiemy pod uwagę, że jednocześnie obowiązywało całe mnóstwo dodatkowych ustaw karnych, to okaza się, że projekt nie zawiera wiele więcej postaci przestępczych, aniżeli całość obowiązującego obecnie prawa karnego. Te zaś, które wprowadza dodatkowo, są zupełnie zrozumiałe i uzasadnione zmianami społecznymi, politycznymi i międzynarodowymi, z jakimi musi się liczyć dzisiejszy ustrój Polski.

złagodzenia kary. Występuje to w 2 postaciach. Sąd może to zrobić w ponad 40 przypadkach, przewidzianych projektem. Ponadto ma prawo generalnego nadzwyczajnego złagodzenia kary w innych wypadkach. Wtedy, gdy wymiarzenie kary przewidzianej za dane przestępstwo byłoby oczywiście niesprawiedliwe ze względu na niewielki stopień zawinienia sprawcy lub nieznaczne następstwa jego czynu, albo ze względu na to, że w sprawie istnieją okoliczności łagodzące wyjątkowej wagi. Takie nadzwyczajne złagodzenie kary jest niemożliwe tylko wtedy, gdy dolna granica wynosi 5 lat więzienia. Praktycznie biorąc, to ograniczenie dotyczy ok. 20 procent spraw.

— Projekt przewiduje także innego rodzaju kary niż więzienie lub grzywna.

— To właśnie jest dalszą przeciwwagą zaostrożenia sankcji karnych w pewnych wypadkach. Sąd może zrezygnować z wymierzenia normalnej kary na rzecz nagany bądź środków dyscyplinarnych lub służbowych, bądź tylko potępienia społecznego, jeżeli popełnione przestępstwo wykazuje niki społecznie niebezpieczeństwo, a zwłaszcza gdy stopień zawinienia sprawcy i następstwa są błahe. Wreszcie projekt eliminuje odpowiedzialność opartą na zamiarze wynikowym w przypadku usiłowania popełnienia przestępstwa, podżegania do jego popełnienia oraz udzielania pomocy w jego popełnieniu.

— A więc jak pan profesor precyzuje swój sąd o projekcie?

— Projekt Kodeksu Karnego ma dużo niedociągnięć i niedomówień, które zapewne zostaną usunięte po dyskusji, jakiej został poddany w całym kraju. Ale w każdym razie jest lepszy od pierwszego projektu opracowanego w r. 1956.

— A konkretne niedociągnięcia i niedomówienia?

— To już sprawa bardzo specjalna do dyskusji w gronie prawników. Nie zgadzam się z projektem w różnych zagadnieniach szczegółowych i merytorycznych. Np. za zupełnie niepotrzebną uważam deklarację wstępna. Jej treść obfita w truizmy. Wszak jest rzeczą oczywistą, że zadaniem polskiego ustawodawstwa karnego jest ochrona niezawisłości i ustroju Polski Ludowej, własności społecznej, praw i wolności obywateli itd. Ochrona ta nie czepie jednak swojej mocy ze wstępnej deklaracji ustawowej. Jej rodzaj i rozmiar będzie wynikał z tych przepisów części szczególnej kodeksu, które będą określały przestępstwa stanowiące zamach na ustrój PRL, na prawa i wolności obywateli, na ustanowiony przez władzę ludową porządek prawny oraz na szereg innych dóbr nie wliczonych w tej deklaracji.

— Są również kontrowersje co do tzw. materialnej definicji przestępstwa.

— Sądzę, że społeczne niebezpieczeństwo (szkodliwość) działania lub zaniechania jest do tego stopnia conditio sine qua non jego przestępczości, że przy formułowaniu zasady legalności w prawie karnym nie potrzeba nawet o nim wspominać. Zachowanie się danej osoby jest dlatego właśnie „zabronione przez ustawę karną”, że jest społecznie niebezpieczne (szkodliwe). Tak jest sens prawa karnego.

Z adwokatem Jerzym Szwarcem i prof. Zdzisławem Papierkowskim rozmawiał Jerzy Dołstański.

## Z Janem Drohojowskim o Meksyku dyplomacji itp.

(Dokończenie ze str. 4)

z bródką w średnim wieku. Wyciągnął rękę i dobrą polszczyzną powiedział: „Jestem Picado Michalski, prezydent tego kraju i przyszedłem pana powitać”. Później składałem listy uwierzytelniające w Costa Rica. Kiedy po skończonej ceremonii orkiestra zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła”, prezydent Michalski rozplakał się. I ostatnia dykteryjka: W czasie wojny byłem radcą ambasady RP w Waszyngtonie. Po upadku Francji nie wiedziałem, co się stało z wojskami polskimi, jak informować opinię amerykańską. Siedziałem w ambasadzie brytyjskiej, która miała bezpośredni kabel z Foreign Office. Kiedyś czekając na wiadomości otrzymaliśmy depeszę: „Zgoda na wydatek 6 funtów i 10 szylingów celem naprawy fotela”. Działo się to w decydujących dla Anglii chwilach.

Rozmawiał Piotr Goch



# Przepowiednie \*

**K**AŻDA epoka ma swoje postacie — synonimy. Nasze dwudziestolecie ma ich niemało. Ale nauki humanistyczne, nauki społeczne są i będą nieodłącznie związane z nazwiskiem Stefana Żółkiewskiego. Wszyscy wiedzą, jaką rolę w latach czterdziestych odegrała „Kuznica” i liczna grupa ludzi skupiona wokół tego pisma. Ale nie do pomysłenia była „Kuznica” bez jej naczelnego redaktora, A Instytut Badań Literackich, a Wydział Nauk Społecznych PAN! I przy tym wszystkim katedra na Uniwersytecie Warszawskim, ruchliwa działalność polityczna, społeczna, niezliczona ilość spotkań, wieczorów, odczytów i to nie tylko w stolicy, ale i na głębokim zapleczu, kierownictwo redakcji doskonałego czasopisma „Kultura i społeczeństwo” itp., itd. Ale nade wszystko bogaty dorobek publicystyczny, znakomite eseje krytyczne rozsiane bodaj we wszystkich czasopismach polskich, której ilości nie doliczy się sam autor, eseje, które niejednemu czytelnikowi dopomogły odnaleźć właściwą drogę, niejednego przeciwnika zmusiły do podjęcia głębokich studiów i — milczącej rezygnacji z polemiki.

Osobiście pamiętam Żółkiewskiego z owych lat zamierzchłych, kiedy to wszyscy liczni działacze uniwersytetów ludowych i ich sprzymierzeńcy skrzyknęci do jakiejś miejscowości podwarszawskiej słuchali w napięciu wykładów profesora, w których rozprawił się ze spuścizną dwudziestolecia mię-

dzywojennego, używał sobie na „awan- sie duszy i pogwarkach na przyżbie” i przepowiadał. Przepowiadał, jaka będzie kultura w powstającym państwie, jakie będą gusta ludzi w tym kraju za lat dwadzieścia — trzydzieści, jak kształtować się będzie osobowość człowieka, jakie są perspektywy polskiej literatury. Podziwiano wówczas erudycję prelegenta, ale wznoszono ramionami, gdy „prorokował”.

I oto w 1963 r. ukazuje się książka Żółkiewskiego, w której autor na wstępie „zamiast wrożyć proponuje przemysleć zagadnienia, które powinny unowocześnić naszą świadomość teoretyczną”.

Wspominam o tym mało zresztą znanym epizodzie, aby wykazać, jak wierny sobie jest Stefan Żółkiewski. Wierność ta ma swoje źródło w głębokim zaangażowaniu, w konfrontacji teorii — busoli autora — z praktyką, w której uczestniczy.

Krytycy Żółkiewskiego twierdzą, że jest on jako pisarz, jako autor mało komunikatywny, zarzucają mu zawilgość języka, wysublimowany kunszt, „profesorski styl”. Nigdy nie mogłem tego sprawdzić. Może dlatego, iż są ludzie, których rozumieją tylko osoby gruntownie wykształcone i „prostaczkowie”. „Perspektywy literatury XX wieku” czytali słuchacze uniwersytetu ludowego. Zrozumieli doskonale. Dyskutowali rzeczowo. Artykuły tegoż autora zamieszczone na łamach „Życia Literackiego”, „Przeglądu Kulturalnego” i in. czytali uczestnicy seminariów dla inteligencji terenowej. Nie tylko zrozumieli, ale i wprowadzili je jako temat do dyskusji w swoich lokalnych klubach dla inteligencji. Ostatnią książką „Przepowiednie i wspomnienia” wywołała żywą reakcję, głębokie wzruszenie, a nawet polemikę. Związana w tych fragmentach, kiedy Żółkiewski, wspominając lata walki z najeźdźcą, twierdzi nie bez żalu, iż nigdy nie miał „uczniów tak chciwych przeżyć

artystycznych, ciekawych literatury i jej nowości, jak w dobie okupacji”.

Patrzę na członków grupy „Ponidzie”, też nie ludzi „czystej sztuki”, kolejarzy, nauczycieli, mechaników, urzędników czytających i recytujących goździnami wiersze, zjeżdżających na seminarium (jedynie wolne dni w miesiącu), obławianych książkami, periodykami, wycinkami z prasy, chowającymi w zanadrzu własne utwory — i myślę sobie: są jeszcze i dziś młodzi ludzie żyjący w „czwórnasób”. Diabli nie mało o nich wiemy. Ci ludzie też czytają i to z wypiekami na twarz książki Żółkiewskiego i — mój Boże — przepisują sobie co ciekawsze fragmenty z „Przepowiedni”, jako że książka wydana w ilości 5.000 nie jest obliczona na odbiorców aż z tak głębokiego terenu.

A przecież książka Żółkiewskiego, ze względu na jej niezwykle ważne, szczególnie w latach najbliższych, „przepowiednie”, na analizę naszych stosunków kulturalnych, na perspektywę — powinna znaleźć się w rękach nie tylko zawodowych krytyków, ale i to przede wszystkim działaczy kulturalnych: pracowników domów kultury, bibliotekarzy, kierowników placówek kulturalnych. Urzędnicy zaś wydziałów kultury rad wszystkich szczebli powinni ją przeczytać czym prędzej. Po prostu jako vade mecum. Kto wie, czy wówczas nie mielibyśmy znacznie mniej nieporozumień w resorcie kultury. Z tej prostej przyczyny, że książka Żółkiewskiego uczy. Uczy jasno, wyraźnie, dokładnie. Zachęca do dalszych studiów. A czyta się ją jak najlepszą, pasjonującą lekturę. Odkłada się z żywą satysfakcją po to zresztą, aby znowu po nią sięgnąć.

Świetnie, że książka ukazała się właśnie w roku 1963. To bardzo ważny rok w naszym życiu kulturalnym.

Waldemar Babinicz

## UWAGA ABSOLWENCI

szkół plastycznych Lublina, Nałęczowa, Zamościa i Wydziału Historii Sztuki KUL

Zwracamy się do Was z prośbą o nadsyłanie do Redakcji „Kamień” (Lublin, ul. Graniczna 7) danych dotyczących pracy zawodowej po ukończeniu uczelni czy szkoły. Informacje winny obejmować: wiek absolwenta w momencie ukończenia szkoły, nazwę szkoły, charakter pracy po ukończeniu szkoły, rodzaj pracy obecnie wykonywanej, osobisty stosunek do wykonywanego zawodu, województwo, na terenie którego absolwent pracuje. Rozmiar wypowiedzi — do 2 normalizowanych stron maszynopisu. Termin — do 15 maja. Prosimy o podpisywanie wypowiedzi godłem, z załączeniem nazwiska i adresu w osobnej, zaklejonej kopercie. Redakcja zapewni dyskrecję co do personaliów autora. Dziesięć najlepszych prac zostanie nagrodzonych wartościowymi książkami.

runku. Od samego początku zaznaczyło się to w scenografii Uklei: nierówna knajpa „Piwo z wudkiem pod kogutkiem”, jakby wycięta z książeczki dla dzieci, świetne, umowne dekoracje Bielan, wycięty profil dorozki, wywołujący śmiech samym ukazaniem się.

Na ogół lepiej wypadło przedmieście niż cyganeria. Pewnych melodramatyczności nie dałoby się uniknąć, chyba kosztem zmiany fabuły, ale wtedy nie byłby to Krumiński ze swoją autentyczną miłością do Mani robotnicy z „cygarfabryki”. Obrazy „Przedmieście”, „Bielany” i „Flisaki” pokazały ciekawy folklor podmiejski. Piosenki to nowe słowa na kanwie melodii dawnych tańców ludowych, znane z komizmu piosenki wojskowe ze sławnym „A on do wojska był przynależony”. Zachwycały też bardzo charakterystyczne typy w świetnie dobranych strojach.

Na czoło wysunęła się postać Antka, woda andrusów, grana przez Jana Machulskiego. Jego Antek zachwycał pełną wdzięku ewanickością, w której widziałbym wpływ lektury „Wiecha”, wesołości, komizmem, świetnie interpretowanymi piosenkami. Grający rolę Kanka, przyjaciela Antka, Marian Drodowski, był świetny, o ton bardziej „wiechowaty” od partnera; świetnie operował żargonem, nie posuwając się do smonesu. Inne bardzo dobre postaci z galerii typów galicyjskiego Krakowa — to, wspomniany już, pisarz Majcherek (Włodzimierz Wiśniewski) rozmierzający naiwną obudą, bezsensownymi powiedzeniami, były wójt (Ryszard Kolaszyński) — typ „nie tak dawnie bywało”, feldfel Benzek (Tadeusz Bourdo), jakby żywcem wyjęty z powieści Haska o c. k. armii, zabawnie wplatający czechizmy, pełen żołnierskiej wery i galanterii, woźny Guła (Stefan Buczek), ogłaszający zarządzenia sformułowane w przedziwnym, pseudourzędowym stylu. Wszystkie postaci były konsekwentnie grane groteskowo. Zależnie od potrzeby są to andrusy, andruski, albo peleryniarze i modelki, kuchty, szwacki (Zofia Stefańska, Maria Stechałówna, Zofia Bajuk, Lucyna Suchecka, Nina Czerna, Zygmunta Fok, Ludwik Paczyński, asystent reżysera), Tadeusz Kuduk, Zdzisław Winiarczyk, Stanisław Stojko).

Najtrudniejszą w przedstawieniu jest chyba rola Mani, „królowej przedmieścia”, źródło melodramatyzmu w sztuce. Mania była Felicją Jagodzińską, popularną aktorką lubelskiej operki, obdarzoną z całego towarzystwa najlepszym głosem. Konwencja operetkowa nieco wpłynęła na rysunek tej postaci, ale w następnych spektaklach dało się zaobserwować większe zgranie aktorki ze stylem całego zespołu.

Empioł Tytus Walski nie byłby odpowiadał kreowanej przez niego postaci poety Zygmunta i aktor niewiele mógł na to poradzić. Zbigniew Czeski (malarz), bardzo młodopolski w wyglądzie i geście, przeszarżował trochę swoją rolę. Modelka Teresy Mikolajczuk miała wdzięk i pikanterie, w osiągnięciu zarobku wydatnie jej pomagał poetycki dezalb. Wudki szmer uznania wśród panów (arsowa postać dobrze zagrana przez Witolda Lisowskiego o ładna piosenka Edwarda (Machulski) w pierzynie śpiwana była tym razem zbyt serio, melodramatycznie.

Najlepiej wypadł trzeci akt, pozabawiony prawie akcji. Składał się z inscenizacji poszczególnych piosenek pomyslnych jako widowisko w budzie jarmarcznej, czy teatrzyku ogródkowym. Najciekawszy moment to kapitalnie zainscenizowana i grana historia o krwawym Antku, w której Machulski dał popis interpretacji piosenki.

Tak barwny, roztańczony i rozspiewany spektakl, pokazujący jak z lekkiej muzy można zrobić pania Sztuka cieszyć się będzie na pewno powodzeniem u nas i w Jugosławii.

\* Stefan Żółkiewski: „Przepowiednie i wspomnienia”, PIW 1963, wyd. I, str. 360, cena zł 25, nakład 5.000.



„Królowa Przedmieścia” — obraz I aktu III

szy wychodzi gra, interpretacja, a nie walory wokalne. Na swoistą konwencję przedstawienia złożyła się też i choreografia Zbigniewa Kwiatkowskiego, pozbawiona bardziej skomplikowanych pas, pokazująca taniec podmiejski podporządkowany srodowisku. Swoją rolę w konwencji miały cyrkowe ciosy, skoki i upadki.

Przedstawienie opracował muzycznie Bogdan Pawłowski kierownictwo muzyczne należy do Ryszarda Schreitera.

Akcja „Królowej Przedmieścia”, bardzo wąta, odbywająca się w znacznej części poza sceną, składa się właściwie z dużej ilości epizodów, sprawiających wrażenie wciąż uzupełniających się szkiców malarskich. Nielatwe zadanie miał reżyser nadając spektaklowi zwartość i tempo. Tu wyszła na jaw jeszcze jedna funkcja tańca i śpiewu, one bowiem w dużej mierze były czynnikiem spajającym epizody.

W wodewilu Krumińskiego i Schillera panują właściwie dwie tonacje uczuciowe: sentymentalizm i humor.

Jeśli chodzi o humor, to nie ma wątpliwości, że się nie zestarzał, „chwyt” współczesnego widza. Gorzej natomiast sprawa wygląda z sentymentalizmem, który zwłaszcza w młodopolskiej odmianie jest dla nas nie do przyjęcia.

Główny wątek to melodramat. W „biednej ale uczciwej” i niedostępnej Mani z przedmieścia Krakowa zakochał się Zygmunta, poeta dekadent. Podczas nocnego sam na sam Mania zostaje „skompromitowana” odrąbaną przez nią pisarz gminy Majcherek mści się żądając okazania w imieniu władzy sekretnej książeczki, którą wówczas pewne panie okazywały policji. Wprowadzony w błąd i rozczarowany tak brutalnie Zygmunta wraca na łono czystej sztuki. Mania się truje, Zygmunta śpieszy na ratunek, lecz my się nie martwimy zajęci przykładem „dolce vita” w wydaniu młodopolskim, niewiele różniącym się od naszego; nie wzruszamy się zniknięciem pary i rocznymi, jak sugeruje tekst, staraniami Zygmunta o względy Mani. Podziwiamy wtedy uroczę Bielan.

Trudno też traktować serio apaszo-manie, „zdrowie” przedmieścia — modne w onych latach, a powagę sugerują wielce sentymentalne niektóre piosenki. Dlatego jedyny możliwy sposób pokazania „Królowej Przedmieścia” — to półśmiech, zgrzywa z porozumiewawczym przywróceniem oka. Spektakl poszedł mniej więcej w tym kie-

# Z lekkiej muzy pani Sztuka

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

**P**O DOŚĆ ciężkich i dla szerszej publiczności trudnych „Wygnańcach” Joyce’a Teatr im. J. Osterwy wystąpił z premierą gatunkowo i nastrojowo wprost przeciwną. Mowa o „Królowej Przedmieścia” Konstantego Krumińskiego w adaptacji Leona Schillera.

Utwór ten, napisany pod koniec dziewiętnastego wieku przez byłego „cygana”, potem urzędnika austriackiego ministerstwa, wreszcie polskiego dziennikarza, a więc postać wielce barwną, cieszył się od początku olbrzymią popularnością, grany w skupiskach polskich na całym świecie.

Tekst oryginalny w latach trzydziestych został adaptowany przez dawnych członków Zielonego Balonika: Schillera i Trzebińskiego. Z tych dwu adaptacji schillerowska zyskała większą popularność. Ponieważ widzowie dzisiejszemu widowisku w pierwotnej postaci jest właściwie niedostępne, należałoby wspomnieć o dokonanych na nim operacjach. Schiller zmniejszył ilość aktów, pokazał środowisko cyga-

neril młodopolskiej, wkomponował własne melodie, które potem weszły w skład „Kramu z piosenkami”.

„Królowa Przedmieścia” jest wodewilem tzn. należy do gatunku dającego przewagę tekstowi mówionemu nad śpiewanym. U Schillera wygląda to nieco inaczej, mowa nie ma przewagi nad śpiewem i tańcem, a mimo wszystko wodewil nie zmienia się w operetkę, nie nabiera jej sztuczności. Powstaje swoisty typ wodewilu, w którym śpiew i taniec nie tylko są wartościami same w sobie, ale przede wszystkim charakteryzują postaci, ruch nabiera funkcji komunikatywnych jak w pantomimie.

Te walory i intencje omawianej adaptacji wydobyl w pełni reżyser i scenograf lubelskiego przedstawienia Jerzy Ukleja, który wystawił przedtem „Królowę Przedmieścia” na scenie teatru Wybrzeże, gdzie spektakl ów cieszył się dużym powodzeniem.

Utrafienie w ton schillerowski udało się Uklei dzięki sięgnięciu po piosenkę aktorską, w której na plan pierw-



# NA DRODZE DO TEATRU AKTORSKIEGO

HENRYK JURKOWSKI

Z WIELU widowiskich lalkowych, bohater utworu scenicznego istnieje tylko jako rezultat pomysłowy i scenarzystyczny, różnorodnych wymyślnych scenografii, różnorodnych plastycznych obserwacji i oczywiście propozycji artystycznych scenografa. Rzadko zaś udaje się obserwować udział twórcy aktora, który z natury rzeczy winien być głównym twórcą postaci sceniczej.

Bywają wyjątki od tej zasady i o jednym z nich chciałbym tutaj powiedzieć. I to nie dlatego, jakoby był on najwybitniejszym osiągnięciem w dziedzinie sztuki aktorskiej teatrów lalkowych, ponieważ jest on, jak się zdaje, wynikiem wieloletnich starań kierownictwa teatru, które dopiero teraz zbiera owoce słusznego założenia programowego. Myślę tu o roli Marii Elsmund w „Tygrysie Pietrku”, o Teatrze Lalki i Aktora w Lublinie i o kierowniku artystycznym Stanisławie Ochmąskim.

„Guignol w tarapatkach”, „Parysada”, „Sambor i Lew”, „Szu-hin”, „Tygrys Pietrek” — oto tytuły sztuk, które wyznaczają tendencje repertuarowe teatru lubelskiego. Każda z tych sztuk posiada materiał na interesującą rolę aktorską. Każda z nich posiada prawdziwego bohatera, wokół którego zorganizowane są wydarzenia sceniczne. Wyekspozycjonowane postaci bohatera jest podstawowym warunkiem poprawnej realizacji utworu. Bez uwzględnienia tego wrzuku utworu utraci swój sens. Repertuar więc wyraźnie sugeruje kierunek realizacji sceniczej — w stronę aktorskiego teatru lalki.

Nie wszystkie wymienione wyżej sztuki zasługują na specjalne omówienie z racji osiągniętych rezultatów aktorskich. Niemniej jednak w rozwoju teatru lubelskiego odegrały one pozytywną rolę — jako doświadczenie całego zespołu aktorskiego, były bowiem wynikiem pracy aktorskiej. Kontrolowanej wprawy reżysera, ale pracy jak gdyby wyodrębnionej, takiej, za którą odpowiedzialność w pełni ponosi aktor.

Wydaje się, że te tendencje dają pierwsze wartościowe rezultaty i że ich zadowalającym przykładem jest wspomniana rola Marii Elsmund (tygrys „Pietrek”) w widowisku „Tygrys Pietrek” Hanny Januszewskiej w reżyserii Zenona Jarockiego, scenografii Adama Killana.

Dla aktora nieobojętne jest, jaką dysponuje lalką. W omawianym przypadku Killan stworzył Pietrka infantylnego, naiwnego, z bezradnym spojrzeniem. Było to korzystne dla aktora. Maria Elsmund dysponuje jasnym sopranem o dziecięcym brzmieniu, który w sposób naturalny harmonizował z propozycją Killana. Pietrek jest jednak tygrysem, wobec którego nie zastosowano zasad antropomorfizacji. Jest więc technicznie lalką trudniejszą, ponieważ postać tygrysa daje mniej możliwości ruchowych niż postać ludzka.

Postać Pietrka zbudowana została w oparciu o obserwację świata dziecięcych leków i reakcji. Uczyniła to autorka spisu historii tygrysa bojaźliwego, któremu duże tygrysy odebrały paski, manifestując w ten sposób swoją pogardę, a który w momencie choroby matki potrzebował dać dowody prawdziwej, przykładowej odwagi. Uczyniła to i aktorka, które scharakteryzowała Pietrka środkami... zmalistycznymi (wiadomo, tygrys), ale podciągniętymi do wyobrażeń o zachowaniu się dziecka. Ten Pietrek jest niezwykle sympatyczny — pochodzi ze świata, który znamy i który nas wzrusza. I jest... od-

ważny, ponieważ odcienia przeżycia i problemy, do których wiele dzieci się nie przynajmniej i których wielu dorosłych po prostu sobie nie uświadamia.

Pietrek jest nieśmiały, bojaźliwy, a do tego jeszcze posiada świadomość upośledzenia, które dźwiga jak garb. Dźwiga je ostrożnie, z uwagą. Stąd dyscyplina w geście i w ruchu. Pietrek chodzi bardzo ostrożnie, co zaznaczone jest ruchami wahadłowymi korpusek, sugerującymi przenoszenie ciała z łap przednich na tył. To chodzenie jest jak gdyby niekontrolowane, podświadome, bo Pietrek bez przerwy prawie patrzy na widzów, szukając jak gdyby zrozumienia dla swoich kłopotów.

Pietrek, chociaż jest młym tygrysem, ceni wagę słowa. Jest to istotne, ponieważ w sztuce H. Januszewskiej wiele trzeba powiedzieć. Pietrek więc wypowiada swoje kwestie prawie neruchomo, akcentując ich znaczenie ledwie dostrzegalnym skinięciem głowy.

Jest mały i bezradny. Gdy tygrysy zabrały mu paski, opiera głowę o kulę, kreśli nią i płacze. To dziecięce szukanie oparcia połączone tu zostało ze znaczną wyrazistością lalkarską. Podobnie i w innej scenie pisku. Pietrek wypowiada się środkami charakterystycznymi dla lalki: oczy wyciera, czy może zakrywa — ogonkiem. Tak nie może płakać tygrys. Tak płakać może tylko lalka.

Wędrówka po świecie była świetną okazją do pokazania dziecięcego wdzięku Pietrka. Pietrka — lalki, Pietrka spotyka żołnierzy. „Żołnierze odważny musi być”. Pietrek chce zostać żołnierzem. Zbliża się do szeregów i szybko spada obok żołnierza. Jest szczęśliwy. Jest nieruchomy. Patrzy triumfalnie na widownię. Przedstawiono nam tutaj naiwne zadowolenie dziecka. Dano scenę pełną komizmu, płynącą z kontrastu między spokojnym triumfem Pietrka, a zaferowaniem żołnierza.

Przykładów takich można jeszcze wskazać wiele. Wszystkie one dowodzą, że aktor stawiał na przedstawienie postaci Pietrka środkami maksymalnie lalkarskimi. Doceniał jednak znaczenie tekstu.

Pietrek wrócił ze świata do domu i tu zastał swoją mamę — chorą. Po lekarza trzeba jechać natychmiast. Jest ciemno i droga niebezpieczna. Pietrek wbrew usposobieniu siada na konia i pędzi po doktora. Czas trwania tej jazdy wyznacza monolog Pietrka. O strachu i o potrzebie odwagi, z oddaniem wszystkich subtelnych odcieni nastroju i kapitalnymi przejaściami z jednego nastroju w drugi.

Finał jest oczywiście happy end'em. I chyba tylko tutaj można załować, że Maria Elsmund zbyt szybko wzruszyła się sama szczęśliwym zakończeniem i ze sceny powoli izawym sentymentem. Pietrek traktowany był przez cały czas z poczuciem humoru i z koniecznym dystansem — w zakończeniu zabrakło tych elementów. Pietrek przestał wyobrażać postać sceniczną, wrzucił ją, budując różnorodne skojarzenia, a stał się sentymentalnym malcem.

Oczywiście uwagi te nie mogą zmniejszyć sukcesu aktorki. Stworzyła ona postać żywą, sugestywną i „lalkową”. Jej sukces to sukces całego Teatru Lalki i Aktora w Lublinie.



Nr 15 Przeglądu Kulturalnego dostarczył licznych satysfakcji, żeby wymienić tylko W. Zonna „O prorokach i astronomii”, W. Sokorskiego „Współczesność i telewizja” czy S. Zólkiewskiego „Technicy z humanistami”, J. Chałasińskiego „Czy jest jeszcze inteligencja w Polsce?” i A. Kijowskiego „Głuchoniemy”. Chałasiński, znakomity socjolog, autor „Młodego pokolenia chłopów” i prac o rodowodzie polskiej inteligencji, stawia pytanie niby przekonane, a ujawniające zasadnicze wątpliwości. Istnienie inteligencji jest bowiem faktem, ale nie wiadomo kogo do niej zaliczać. Kiedyś urzędnik kolei warszawsko-wiedeńskiej był inteligentem, czemużby dziś pracownik GRN miał nim nie być? Swoje bardzo ciekawe refleksje snuje Chałasiński na marginesie lektury materiałów z konkursu na pamiętniki młodego pokolenia wsi. Osią tych refleksji jest porównanie księgi pamiętkowej poświęconej Orzeszkowej z tymi pamiętnikami.

„W tej księdze pamiętnikarstwa wiejskiego jubilatami jest Polska Ludowa. Nie abstrakcyjna idea Polski Ludowej i nie jej wizja poetycka, ale jej rzeczywistość codzienna pokazana w organicznym splocie z życiem tych pamiętnikarzy. Ta księga wyrasta z dołów społeczeństwa i osadzona jest mocno i głęboko w realiach życia. Literatura dodaje w niej smaku realnemu życiu, a nie ma służyć zastąpieniu rzeczywistości przez iluzję poetycką. W tamtej księdze był trzymający bezradności pisarstwa inteligencji oderwanej od praktycznej działalności. Tutaj erupcja pisarstwa idzie w parze z codzienną pracą gospodarczą, towarzyszy niecierpliwość z powodu powolności postępu, rodzi się z nienasycenia potrzeb kulturalnych rozbudzonych przez wielką rewolucję społeczną”.

Dawno już nie powiedziano tak interesujących i nowych rzeczy o Norwidge, jak to uczynił A. Kijowski w krótkim felietonie „Głuchoniemy”. Dwa z niego cytaty:

„Przez lata całe Norwid nie słyszał prostej polskiej rozmowy, pozabawiony był żywiołu polszczyzny który otacza nas wszystkich mieszkańców kraju. Otaczał go

żywioł wimazyczny, francuszczyzny, unieliszczony. Z Polakami prowadził tylko wielkie rozmowy, bo to jest cecha emigracyjnych środowisk. I tak kształtała w nim ta polszczyzna, oddalała się od niego bardziej, ze wszystkimi dziewczkami życia, od których odrodziła go głuchota... Norwid był wielokrotnym emigrantem. Po pierwsze ze społeczności polskiej, po drugie z wszelkiej społeczności. Po trzecie był emigrantem-literatury — jako nieodpowiedny i zapomniany. Stąd swoje niepięknne archiwizowanie, gdyż za niczym już nie nadają: ani za polskim życiem, ani za sztuką, ani za wszelkim czasem. Dlatego doznawał go w stanie czystym. Głuchy i ośmielony, wstrząsany w czasie wygnania”.

Następny numer „Przeglądu” przynosi wypowiedź Jarosława Iwaszkiewicza — poświęconą rocznicy powstania w Getcie Warszawskim. Tej rocznicy poświęca uwagę także Nowa Kultura (nr 16) i Życie Literackie (nr 16). Pisze na ten temat W. Maciąg w artykule „Świadectwo literatury” podkreślając, że literatura polska piórami najwybitniejszych pisarzy natychmiast ten temat podjęła:

„Literatura polska tego okresu zrozumiała to od pierwszej chwili. Zrozumiała, że stosunek do ścisłych i morderczych Żydów jest najcięższym i najbardziej zasadniczym problemem humanizmu. Ideowo deklarowanego antyżydowskiego sprawa była tuż w sposób natychmiastowy jako postawa moralnie bezinteresowna, niezależna właściwie od materialnej i biologicznej pobudki, jako wartość... Biologiczna literatura powojenna uznała ten kraj tematem, za jeden z najważniejszych w swoim dorobku. Trzeba to podkreślić tym silniej, że na Zachodzie poławiała się ostentacyjnie nowe książki ojmujące tragedię Żydów jako temat świata nieznanego. Jako temat, który wymara literackiej popularności. Znakomity i ciekły jeszcze rosny dorobek pisarzy polskich mówi tu sam za siebie jako najsłabsze świadectwo okupacyjnych doświadczeń”.

Warto zwrócić uwagę na nowy, pierwszy tegoroczny numer Pamiętnika Literackiego, który oprócz innych, np. rozprawy M. Jasińskiej o narratorskiej w powieści, zawiera liczne materiały poświęcone osobie i twórczości Bolesława Prusa. Jest to w rzeczywistości rocznicowy „prusowski” numer „Pamiętnika”. Wymieńmy przynajmniej te „prusowskie” pozycje: S. Adamczewskiego „Prusowski problem”, F. Araszkiewicza „Dwa fragmenty notatek twórczych Bolesława Prusa” i S. Fity „Galicyjska misja Bolesława Prusa”. K. Tokarzówna publikuje tu nowe, nieznane listy Prusa, a T. Klak zamieszcza notatkę o Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie.

TK

## PRZEGLĄD PLASTYCZNY

Obserwacja środowiska twórczego Lublina pozwala zauważyć wzrastające ogólnie przejawiające się licznymi wystawami i prelekcjami tematycznie związanymi ze sztuką. Przegląd kilku ekspozycji z pierwszej połowy kwietnia jeszcze raz potwierdza współistnienie wielu odmiennych kierunków twórczego obrazowania.

Z. Strzałkowski wystawia swoje prace w Klubie Osiedlowym LSM (grafika i malarstwo), w DDK, ZOR-Zachod (grafika), oraz w witrynie sklepu „Plastyka” przy Krakowskim Przedmieściu. Malarstwo Strzałkowskiego zamyka się w kręgu abstrakcji geometrycznej i „informelu” o bogatej, zróżnicowanej fakturze. Osłowie kompozycji są ciekawymi przykładami realizacji o dużej ekspresji i „biologicznych” asocjacjach. Niektóre jednak płótna nie wykraczają poza umiejętną kombinację ograniczonych form i zestawień kolorystycznych. Grafika Strzałkowskiego (monotypie, drzeworyty, rysunki), operująca na przemian linią, punktem, a wyjątkowo — chłodnym kolorem, przedstawia abstrakcyjne struktury, nie pozbawione często wyraźnej warstwy znaczeniowej i przedstawiającej. Twórczość te, szukająca własnego oblicza, można określić jako godną uwagi, a najlepszą wydaje się praca wykonana „technika drapania” (nazwa rec.), o ekspresji osiągniętej przy pomocy oryginalnie potraktowanej formy.

M. Makarskiego prace ekspozycyjne w DDK ZOR-Bronowice, reprezentują odmienną postawę twórczą. Pełniące i martwe natury utrzymane w konwencji postimpresjonistycznej poprzez technikę i skalę barw, znaną imo jednak dużą indywidualność i kulturę kolorystyczną. Zwartości i czystości kompozycji, szorstka faktura ciepłych barw stanowią o dobrym poziomie tego malarstwa, mimo kilku płócien niedopracowanych, pozabawionych malarskiej koncepcji.

Z. Kononowicza kilkanaście nerwowych, oszczędnych w środkach rysunków tuzem wystawionych w witrynie „Plastyki” potwierdza przekonanie o wyśokich umiejętnościach znakomitego twórcy.

I. J. K.

## NOWE EKSPOZYCJE MUZEUM LUBELSKIEGO

REMONT pomieszczeń Muzeum Lubelskiego dobiegł końca i oto znów mamy możliwość oglądać zbiory sztuki w nim zgromadzone. Uroczystość udostępnienia ich społeczeństwu, na którą przybył wiceminister kultury i sztuki Kazimierz Rusinek, zbiegła się z otwarciem wystawy dzieł Olgi Boznańskiej (wypożyczonych przez Muzeum Narodowe w Warszawie) oraz z ekspozycją wzbogaconych zbiorów sztuki ludowej.

OLGA BOZNAŃSKA

Urodziła się w Krakowie w 1865 r., zmarła w Paryżu w 1940, pozostawiając twórczość niezwykle osobistą, stylizacyjnie jednolitą, bliską nam, bo tematem centralnym jej dzieł był zawsze człowiek.

Wystawa problemowa, którą mamy możliwość oglądać w Muzeum Lubelskim, obejmuje 24 prace, w tym 18 portretów i pozwala dość dobrze zapoznać się z mistrzostwem Boznańskiej-malarki i Boznańskiej-psychologa.

Poznawała rzemiosło malarskie najpierw w Krakowie, później, od r. 1886 w Monachium w szkołach Kricheldorfa i Dürra. Początkowo, ulegając wpływom szkoły monachijskiej, maluje dość nieciekawe obrazy, chociaż niektóre z nich zapowiadają późniejsze prace. Do nich należy znajdujący się na wystawie obraz „Dziewczyna z koszem jarzyn w ogrodzie”, ciężki w kolorze, „monachijski”. anonsujący jednak wpływy impresjonizmu, widoczne w świetlistych plamkach słońca.

Dopiero jednak Paryż (od r. 1898) i francuski impresjonizm pozwoliły artystce na osiągnięcie pełni dojrzałości i uformowanie własnej i konsekwentnej drogi twórczej — wirtuozerii przytłumionej gamy barwnej rozegranej w

tonacjach ciepłych brązów, zgnitych zieleni, szaroniebieskiego, różu i kraplakowej czerwieni, stosowanej tylko wyjątkowo.

Do największych osiągnięć sztuki Boznańskiej zaliczyć należy portrety. Oto „Autoportret” ujęty „en trois quarts”, pełen dojrzałej kobiecości i wyczuwalnego dystansu wobec świata i ludzi, a wszystko to oddane oszczędną barwą lokalnego koloru karnacji współgrającej z czernią bluzki rozjaśnionej białą opaską kołnierzyka.

Pospleszna szkicowość formująca wyraz zdziwienia i jakby bólu, matowej brzozy i czerni ożywionych lekko różami ujmującymi policzki, usta i oczy — stanowią o charakterze innej „Autoportretu” podpisanej: „à Mr. Cheron avec toute ma sympathie, Olga de Boznańska”.

Nie uległa Boznańska wpływom impresjonizmu pomimo pewnych zapożyczeń techniczno-fakturowych, a skala barwna jej prac odbiegała od tej, jaką posługiwali się impresjoniści. Ilustracją tego może być portret „Malarka A. Kamińskiego”, namalowany matowymi czerniami i brązami z lekkiem akcentem umiętnie wkomponowanej ceglastej czerwieni, przedstawiającej wysokiego mężczyznę „en face”, o szczupłej sugestywnej twarzy.

Malarstwo portretowe Boznańskiej („Portret Karola Smólskiego”, „Jadwigi Roguskiej-Cybulskiej”, „Rzeźbiarza Ludwika Pugeta”) ukazuje galerię typów ze ściśle określonego kręgu społecznego: inteligencji, bohemy artystycznej i bogatego mieszczaństwa. Świetnie podpatrzone modele zdradzają swą osobowość, mądrość lub jej brak, a wszystkie należą do ludzi żyjących czasem przeszłym, w świecie „fin de siècle’u”. Nawet wizerunki dzieci, jak „Portret dziewczynki” z 1907 r., będący znakomitym preludium bieli i różu, ukazują dziecięcą oblicza niepokojąco dojrzałe, poważne świadomością ludzi dorosłych.

Rzadziej od ulubionych portretów malowała Boznańska pejzaże, kwiaty i martwe natury. Ten ostatni gatunek reprezentuje „Martwa natura” z 1918 r. Potwierdza ona jeszcze raz mistrzo-

stwo operowania subtelnym, przyciszonym kolorem, który doskonale oddaje atmosferę towarzyszącą kobiecym fatalizmowi i bibelotom.

Nostalgiczna twórczość Olgi Boznańskiej uwieczniona na kruchym materiale (tektura, oddzielona od widza mglistą zasłoną malarskiej materii, jest w pełni zrozumiała dopiero wówczas, jeśli się weźmie pod uwagę sytuację, w jakiej powstawała. Boznańska wyrosła w atmosferze Młodej Polski, Młodej Skandynawii, w okresie szukania tajemniczej głębi własnego „ja”; na pewno nieobca jej była filozofia Schopenhauera i Nietzschego. Przeżycia osobiste, często bolesne, jej i najbliższych, musiały także wywrzeć duży wpływ na ukształtowanie psychiki twórczej Olgi Boznańskiej.

Sztuka jej należy do szczytowych osiągnięć polskiej twórczości plastycznej przez swój indywidualizm, mądrą formę, celne wydobycie i przetransponowanie na obraz prawdy psychologicznej portretowanych ludzi, którzy zawsze byli naczelnym tematem twórczości Olgi Boznańskiej.

SZTUKA LUDOWA

Starannością i umiejętnym dydaktyzmem charakteryzuje się stała ekspozycja sztuki ludowej, wzbogacona nowymi nabytkami. Wśród ekspozycji na wyróżnienie zasługują drewniane świątki i krucyfiksy z przydrożnych kapliczek, lapidarne w formie, o dużej ekspresji, często krótko wykazujące wcale dobre opisanie rzemiosła rzeźbiarskiego (figurki Szkodzkiego z Liszyn, powiat Biała Podlaska). Wyodrębniają się też stroje ludowe, proste i barwne, ciekawie zdobione ławy, komody i kredensy, przemysłowe wycinanki, a także wyroby z metalu (krzyże, kogutki wieżowe, zawiasy itp.). Bogato reprezentowana ceramika, przede wszystkim popularne w kraju „szaraczki”, naczynia z Białej Podlaskiej (K. Rogowski i J. Czeczeliwski). Różnorodne formy wycinanek i „wydmuszek” uzupełniają godną uwagi kolekcję.

Ireneusz J. Kamiński





Barbara Smoczyńska (Rzeszów)  
„Portret rodzinny” (tempera)



Dorota Łabanowska (Białystok)  
„Godzina zwierzeń” (olej)

## Z WYSTAWY CZTERECH WOJEWÓDZTW W LUBLINIE

KWIECIEŃ 63



Edward Nadulski (Lublin) „Wysiężalency” (olej)



Władysław Pacinek (Kielce)  
„Cierń ostrogimski” (olej)

## KRONIKA KULTURALNA

### BIAŁYSTOK

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA organizuje cykl spotkań dla nauczycieli z pisarzami, naukowcami i dziennikarzami na tematy pedagogiki i metodyki nauczania. Pierwsze spotkanie z tego cyklu odbyło się 10.IV. w Grajewie z udziałem Mikołaja Kozakiewicza, publicyści, autora książki „Nauczyciel i religia”.

W HAJNÓWCE odbył się wojewódzki przegląd białoruskich amatorskich zespołów dramatycznych. Na centralny przegląd amatorskich zespołów mniejszości narodowych pojedzie zespół z Lewek w powiecie bielskim, który wystawi „Zdaremnie na kirmaszy”.

JAN SZOSTAK z Augustowa otrzymał jedną z pierwszych nagród w konkursie etnograficznym dla twórców ludowych organizowanym przez poznańską Telewizję.

### KIELCE

ALEKSANDER ZAWADZKI przybył z wizytą na Kielecczyżnę. W dniu 21 kwietnia przewodniczący Rady Państwa uczestniczył we wspólnej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej i Wojewódzkiego Komitetu FJN poświęconej podsumowaniu wyników zakończonego niedawno Roku Ziemi Kieleckiej.

GRUPA SZWEDÓW reprezentujących Uniwersytet Ludowy w Brunnsviku przebywała na Kielecczyżnie. Goście podejmowani byli przez Uniwersytet Ludowy w Rożnicy, który od dawna utrzymuje z Uniwersytetem w Brunnsviku żywe kontakty.

REGIONALNE OGNISKA STUDENCKIE — formą społecznej aktywności studentów. Pod tym hasłem odbyła się w Kielcach ogólnopolska narada działaczy regionalnych ognisk studenckich.

### LUBLIN

W 20 ROCZNICĘ wybuchu powstania w Getcie Warszawskim odbył się w Lublinie uroczysty wieczór poświęcony pamięci tych tragicznych wydarzeń.

OGÓLNOPOLSKA NARADA działaczy Frontu Jedności Narodu poświęcona wymianie doświadczeń, omówieniu dorobku i dalszej

aktywizacji wiejskich komitetów FJN odbyła się 20 kwietnia w Lublinie.

WICEMINISTER KULTURY I SZTUKI Kazimierz Rusinek, w towarzystwie kierownika Wydziału Kultury Prezydium WRN w Lublinie Edwarda Nadulskiego, zwiedził wystawę malarstwa i grafiki 4 województw.

FESTIWAL KULTURY STUDENCKIEJ trwał od 21 do 25 kwietnia w Lublinie. W czasie Festiwalu odbyły się liczne występy studenckich zespołów artystycznych.

ZESPÓŁ PIESNI I TANCA z Końskowoli obchodził 27 kwietnia X-lecie swego istnienia.

### RZESZÓW

IX WYSTAWĘ MALARSTWA I GRAFIKI Warszawskiego Okręgu ZPAP otwarto w salach Muzeum Okręgowego w Rzeszowie. Organizatorem wystawy jest rzeszowskie Biuro Wystaw Artystycznych.

W MUZEUM OKRĘGOWYM eskonowana jest wystawa malarstwa obcego XVII i XXIII wieku.

JAN MYCIELSKI I ADAM ŻEBROWSKI prezentują społeczeństwu Rzeszowa swoje prace plastyczne w foyer Państwowego Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie.

„MERYSK Z BLISKA” to tytuł odczytu, jaki wygłosił w Rzeszowie, Iwoniczu, Przemysłu i Stalowej Woli Jan Drohojewski — autor wielu książek o Meksyku.

„DNI OSWIATY, KSIĄZKI I PRASY” były tematem obrad czelownego aktywu kulturalnego województwa rzeszowskiego. W programie „Dni” przewidziano między innymi otwarcie nowych placówek kulturalno-oświatowych, szereg imprez czytelnickich i oświatowych oraz podsumowanie ogólnopolskiego konkursu pt. „Złoty Książka dla Twórcy, Srebrny dla Czytelnika” ogłoszonego przez Ministerstwo Kultury, Sztuki, PP „Dom Książki” i Redakcję „Dziennika Ludowego”. Spotkanie nagrodzonych autorów i czytelników odbędzie się dnia 19 maja br. w Łańcucie.

400 PUNKTÓW SPRZEDAŻY PRASY KSIĄZKI prowadzi na wsł w województwie rzeszowskim PP „Ruch”.

Unia

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7 • Telefon 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. z 12, półrocznie z 24, rocznie z 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie z 16,80; półrocznie z 36,40; rocznie z 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa Zam. 1380. 12.IV.63 r. N-3.